AS

UŚMIECH PARYŻANKI... M-lle Tavarès.

FOT. DORVYNE, PARYŻ

Nr. 20
17 MAJA 1936 ROKU.
CENA 40 GROSZY.



Czy masz bujną fantazję?

Konkurs na najnieprawdopodobniejsze głupstwo.

Podbiegunowa przygoda.

Przed wyprawą do bieguna północnego zgromadził kapitan swą załogę na pokładzie statku, i aby się przekonać o jej sprawności, wygłosił mowę. Padały słowa ciężkie jak stokilowe głazy, a majtkowie musieli je wlot chwytać. Nie zachwiał się żaden, tylko pewien chłopiec okrętowy nie wytrzymał, i padł przygnieciony. Potem w słowach zaprawionych goryczą tak silną, że słuchający ukradkiem spluwali, przedstawił trudy wyprawy. Mowę zakończył z gryzącą ironją, kóra zdołała tylko jednemu majtkowi odgryźć mały palec u nogi. Ruszono w drogę i po paru dniach osiągnięto Morze Północne. Nagle od rufy rozległ się wrzask, że okręt najechał na górę lodowatą i tonie. W mig skoczyli dzielni majtkowie na pobliskie kry, z boleścią patrząc na tonący okręt. Kiedy ten zanurzył się już po czubki masztów, okazało się, że był to głupi żart jednego z majtków, wobec czego wszyscy wsiedli i pojechali dalej. Okazało się wtedy, że wskutek zimna żywność skurczyła się do mikroskopijnych rozmiarów, tak że można ją było zjeść tylko przez lunetę albo mikroskop, co zresztą było strasznie uciążliwe. Powzięty wtedy zamiar powrotu spalił na panewce z powodu uwięzienia statku wśród lodów północy; razem z zamiarem spalił się również wszystek proch strzelniczy, co uniemożliwiło polowania. Wtedy głód zamienił ludzi w zwierzęta, które zaprzyjaźniły się z żyjącemi tam niedźwiedziami. Na statku pozostał tylko stary sternik, żywiący się przez lupę. Postanowił on wykorzystać tę przyjaźń z niedźwiedziami. Kiedy te przyszły raz odwiedzić swych przyjaciół na statku, sternik włożył do ust gwizdek i nagle powietrze przeszył ostry jak igła gwizd, przebijając i zabijając wszystkich. Wtedy przezorny sternik poćwiartował zabite niedźwiedzie, potem wyjął z zanadrza trąbę marki „Jerycho" i zadął przeraźliwie. Zabici towarzysze, myśląc że to sąd ostateczny, powstali, a widząc, że zostali nabrani, machnęli tylko rękami i powrócili na statek. Z rozpaczy zaczęli pić, tak że jeden skrzywił zupełnie biegun, sterczący tam, a podobny do słupa latarnianego. Bojąc się odpowiedzialności, zarządził kapitan powrót, co okazało się możliwem dzięki chytremu sternikowi. Wyniósł on na pokład termometr i zaczął gwałtownie pocierać zbiornik z rtęcią, aż osiągnął 40° ciepła. W tak wysokiej temperaturze lody otaczające statek momentalnie stajały, a oswobodzony statek mógł wracać do kraju ojczystego.

Dominik.

Przedsiębiorcze raki.

Stryj mój uprawiał do niedawna z zapałem rybo- i rako-łóstwo. Podzielam jego gust, szczególnie na talerzu, to też nieraz towarzyszyłem mu w wyprawach nad brzegi malowniczych rzek i jezior. Pewnego dnia wybraliśmy się motocyklem na raki. Stryj prowadził maszynę, ja w przyczepce. Połów udał się nadzwyczajnie! Kilkadziesiąt kop raków załadowaliśmy do przyczepki. Stryj miał je odwieźć do domu i wrócić po mnie. Ledwie jednak zapuścił motor, gdy motocykl zaczął się z przeraźliwą szybkością cofać! I byłby zapewne mój stryjaszek objechał kulę ziemską dookoła cofając się, gdybym ze zwykłą sobie przytomnością umysłu nie odstrzelił przyczepki dwoma kulami brauningowemi! I co się okazało po zatrzymaniu motoru! To naturalnie, co przewidywałem: naszym rakom było niewygodnie w przyczepce i z wszystkich sił zaczęły uciekać. Wiadomo, rak chodzi tyłem. To też przy tysiącznej ich ilości motor okazał się dziecinną zabawką, a cała siła skoncentrowała się w przyczepce... Jedno jeszcze muszę dodać. Gdy będziecie mieli kiedy, czytelnicy tej przygody, zaszczyt gościć mego stryja u siebie, nie poczęstujcie go, na Boga, rakami, bo od pewnego czasu dostaje dziwnego bicia serca na samo ich wspomnienie, co szkodzi zdrowiu, a Wam przyczyniłoby moc kłopotu...

„Mitsuko"

Mój pierwszy reportaż z frontu abisyńskiego.

Szczęśliwym trafem znalazłem się w Abisynji, odrazu w świcie negusa, w chwili głównego ataku Włochów na Addis-Abebę. Negus z miejsca jak to się mówi prozaicznie „tak z gęby poznał się na mnie", przeczytał listy polecające, uściskał, ucałował mię serdecznie, poklepał zprzyjacielska po ramieniu, wsunął niespostrzeżenie wór talarów w mój samolot, unoszący się zamiast parasola nad moją głową i rzekł kordjalnie: Patrz bracie Polaku, boś i ty był ciemiężony, jak moi żołnierze biją się walecznie.

Słucham: huk armat, grzechot karabinów maszynowych, koziołkowanie czołgów, szwargot samolotów, tętent osłów, mułów i wielbłądów z Polski masowo przemycanych.

Czuję: swąd gazów trujących, żrących, cuchnących, opalanych kończyn Abisyńczyków, którzy ogniem tamują krew amputowanych kikutów.

Widzę dwie nacierające na siebie linje żołnierzy, zbliżających się na odległość szturmową......

Wtem dzieje się rzecz niesłychana: oto żołnierz włoski tnie w kark Abisyńczyka, odcinając mu głowę tak, że wisi ona mówiąc po włosku na włosku. Abisyńczyk popatrzył pogardliwie wybałuszonemi oczyma na przeciwnika, splunął siarczyście i rzekł: „pies cię trącał psiakrew, ta głowa i tak nie warta już funta kłaków" — a to rzekłszy oderwał sobie do reszty prawą ręką głowę i rzucił nią na nadjeżdżający autobus włoski, wiozący bomby, które w tej chwili eksplodowały, czyniąc wielkie spustoszenie w szeregach włoskich, — zaś niemal równocześnie z tubylczą pasją lewą ręką wyrwał swemu przeciwnikowi głowę z korzeniami i wsadził na swój pusty kadłub......

Miły czytelnik zapewne nie będzie rad z tego opisu bohaterstwa na froncie abisyńskim, gdyż powie, że nie tylko na froncie tracą ludzie głowę, zdarza się to bowiem dość często i w czasie pokoju, gdy mężczyzna się zakocha...... a i przyprawianie głowy nie jest nowiną, gdyż u nas masowo, przyprawiają jedni drugim coprawda nie głowę, ale „rogi"......

To też spieszę wyjaśnić, że nie na tem koniec. Oto bohater nasz wyjął prawą ręką z lewej kieszeni martwego nieprzyjaciela lusterko, przejrzał się i tknięty nienawiścią rasową, wrzasnął pogardliwie: „nie, z taką italjańską gębą nie będę chodził". Poderwał się, wziął nogi za pas i pobiegł do najbliższego fryzjera, gdzie kazał sobie włosy poczernić i zaondulować a twarz natrzeć kremem „Nivea", nadającym szybko śniadą, modną cerę. Negus zachwycony bohaterstwem, zimną krwią i roztropnością swego żołnierza, ujął mię pod rękę i poszliśmy oblać niezwykły wypadek dnia w najbliższym polowym barze.

Lowel.

Daleka droga.

...Mam przyjaciela, który jest tak wysoki, że gdy zimą przemoczy sobie nogi, latem dopiero dostaje kataru.

Przyjaciel ten opowiadał mi, że pewnego razu wybrał się z wizytą do pewnych państwa, spotkał się jednak z tak chłodnem przyjęciem, że momentalnie się przeziębił i dostał kataru.

B. Sroka.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

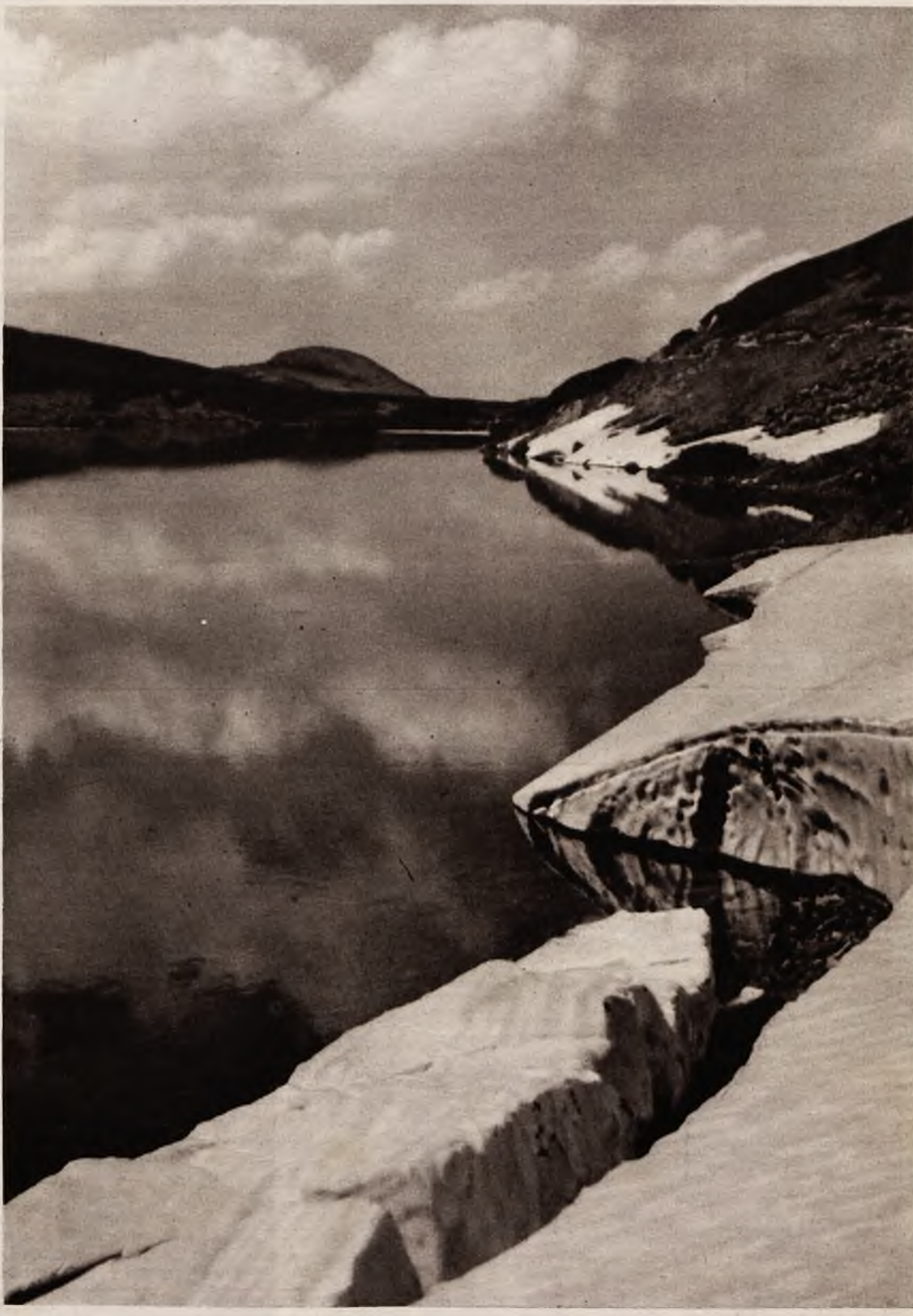
AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 20 **Niedziela 17 maja 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 20-GO:



Fot. Dr A. M. Wieczorek — Zakopane.

Zdobywcza wiosna dotarła również do gór, zdejmując z nich całun śniegu i uwalniając potoki i rzeki, jakoteż jeziora z szklistej powłoki lodu. Oto Czarny Staw Gąsienicowy, w którego wodach odbija się chmurne niebo wiosenne.

BØRNEHJAELPSDAG

»DZIEŃ DZIECKA« W KOPENHADZE



Do najefektowniejszych postaci obchodu w „Dniu dziecka“ należą klowni cyrkowi.

Jak tylko zawita do kraju wiosna, odbywa się w stolicy Danji coroczny Dzień Dziecka „Børnehjaelpsdag“, w ścisłem tłumaczeniu „Dzień pomocy dla dziecka“. Można z całą pewnością powiedzieć, że niema bodaj kraju, w którymby akcja na korzyść dziecka prowadzona była z takim zapałem i oddaniem się sprawie, jak właśnie w Danji. Już na kilka tygodni przed samym dniem na murach nieomal wszystkich domów, na domach towarowych, dworcu i sklepach widnieją olbrzymie plakaty z napisem: „Nie zapominajcie o Dniu pomocy dla dzieci“. Również radjo duńskie stara się przypomnieć swoim słuchaczom o tym dniu, a w przeddzień jego setki robotników wznoszą w krótkim czasie różne kioski, budy, karuzele, tak, że całe miasto przybiera wygląd jakiegoś świątecznego jarmarku. Do późnej nocy słychać pukanie młotków i ruch panuje na wszystkich ulicach.

W tym uroczystym dniu wszystkie szkoły są zamknięte. Tramwaje posuwają się jakby wolniej ulicami miasta i posiadają liczne chorągiewki, tak, jakby chodziło o święto narodowe. Jest to też naprawdę świętem narodowem: wszyscy wtedy wcześniej wstają, gdyż panuje w mieście olbrzymie podniecenie, ale może też dlatego, że trudno dłużej spać przy tym hałasie. Po ulicach przejeżdżają również wielkie auta wspaniale udekorowane, a na nich orkiestry grają skoczne melodje. Widać tu i ówdzie grupę muzykantów ulicznych, którzy poprzebierani dosyć fantastycznie, stają przed składami, wchodzą na podwórza fabryk i domów i grają za każdym razem jakiś ulubiony „szlagier“. Coraz to bardziej napełniają się skarbonki dzieci i dorosłych, zbierających na cele młodzieżowe, to też żaden mieszkaniec Kopenhagi nie wychodzi tego dnia na ulicę, nie zaopatrzywszy się obficie w drobne. Któżby też mógł oprzeć się prośbie przystojnych dziewczynek, ubranych w stroje narodowe i przypominających samą wiosnę? Każdy Duńczyk chętnie daje jakiś datek na ten cel i to nawet kilkakrotnie.

W samem centrum Kopenhagi przed staroświeckim ratuszem ze słynnym „karilionem“ ustawiono olbrzymią trybunę tomboli zarzuconą najrozmaitszymi przedmiotami, które darowali liczni dobroczyńcy „Dnia Dziecka“. Olbrzymie koło szczęścia decyduje o wygranej, oczywiście, że tłumy oblegają to miejsce, dobijając się o bilet. Liczne panie z towarzystwa, a nawet księżniczki z domu panującego sprzedają robótki ręczne własnej fabrykacji i oczywiście konkurują ze sobą, chcąc jaknajwięcej zarobić. Losy, które kupuje się w tym dniu dają nieraz bardzo duże wygrane i można stać się



Na lewo: Dzieci zbierają datki od swoich rówieśników.

Poniżej: Przed obchodem odbywa się zawsze „generalna próba“ licznych muzykantów.





„Cel uświęca środki“. „Zapomnijcie o sytuacji międzynarodowej, myślcie tylko o dzieciach“ — oto treść plakatów w „Dniu dziecka“.

właścicielem auta wartości 5000 koron duńskich.

Przez cały dzień panuje olbrzymi ruch, hałas i gwar, ludzie się cisną, śmieją wesoło, ale to wszystko jest dopiero wstępem i przygrywką do tego, co będzie się dziać wieczorem, gdy z zamku Rosenborg wyruszy do miasta olbrzymi pochód. Mieszkańcy Kopenhagi tworzą wtedy żywy mur, gapiący się na pochód. Dotychczas ściśle obserwowane przepisy o ruchu ulicznym, zdają się wtedy nie istnieć, gdyż każdy stoi, gdzie mu podoba i robi co mu się podoba. Na czele pochodu jadą konni heroldowie z fanfarami i śpiewem, a z licznych powozów i pojazdów wszelkiego rodzaju wyłaniają się duże drągi ze skarbonkami, do których z niesłychaną wprawą wrzucają pieniądze ludzie z tłumu. Na jednym z wozów widzimy postać Posejdona, władcy mórz z olbrzymim trójzębem w ręku, otoczony uroczemi nimfami, które również nieomal wlot chwytają monety dla ubogich dzieci. Posejdon jest jedną z najciekawszych postaci tego widowiska. Ale jest tam oczywiście jeszcze wiele innych postaci, zwracających uwagę— są przedewszystkiem oryginalni drabanci, towarzyszący bogini wiosny i Bachusowi, zapraszający publiczność do oddania hołdu bożkowi wina. Za głównym pochodem jadą barwną wstęgą studenci na autach. Niektórzy z nich grają na staroświeckiej kataryncc. Inne znów auto przedstawia mały dancing, w którym popisują się artyści wszelkiego rodzaju, a kilka par tańczy nowoczesne tańce przy dźwiękach studenckiego kwartetu. Widzimy w pochodzie również orkiestrę listonoszów kopenhaskich, a cyrk ze swojemi klownami, kowbojami, przeciąga ulicami we wspaniałych karetach.

Cała ta olbrzymia impreza zawdzięcza swoje istnienie prywatnej inicjatywie, która w ten sposób zasila różne ochronki, kolonje letnie, sanatorja dla dzieci i t. d. Obecnie komitet tej wspaniałej w swoim rodzaju imprezy liczy przeszło 2000 członków i pomaga 75 różnym instytucjom, niosącym pomoc dzieciom. W ostatnich latach każdy taki Dzień Dziecka przyniósł przeszło 250.000 koron duńskich, które w całości przekazane zostały na cele dobroczynne. Trzeba przyznać, że niema bodaj kraju, w którymby społeczeństwo tak dobrze rozumiało doniosłość pomocy dla młodzieży i w którymby każdy nieomal obywatel tak obowiązkowo i ściśle spełniał społeczne zadania. Jedyną nagrodą za udział w tej akcji dobroczynnej jest poczucie spełnionego obowiązku i możność pochwalenia się dobrze napełnioną pieniędzmi puszką. Oczywiście, że akcja ta nie udawałaby się może tak dobrze, gdyby Duńczycy nie posiadali swoistego, wrodzonego humoru, który w Kopenhadze zyskał miano „północnego Paryża".

Brunon Schleifer (Kopenhaga).



Młoda Laponka w swoim nadwyraz efektownym stroju, również bierze udział w akcji dobroczynnej.



Na lewo: „Zaimprowizowany" zaklinacz wężów budzi ogólny zachwyt u licznej gawiedzi. WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. BRUNON SCHLEIFER.

życie z PRZESZKODAMI

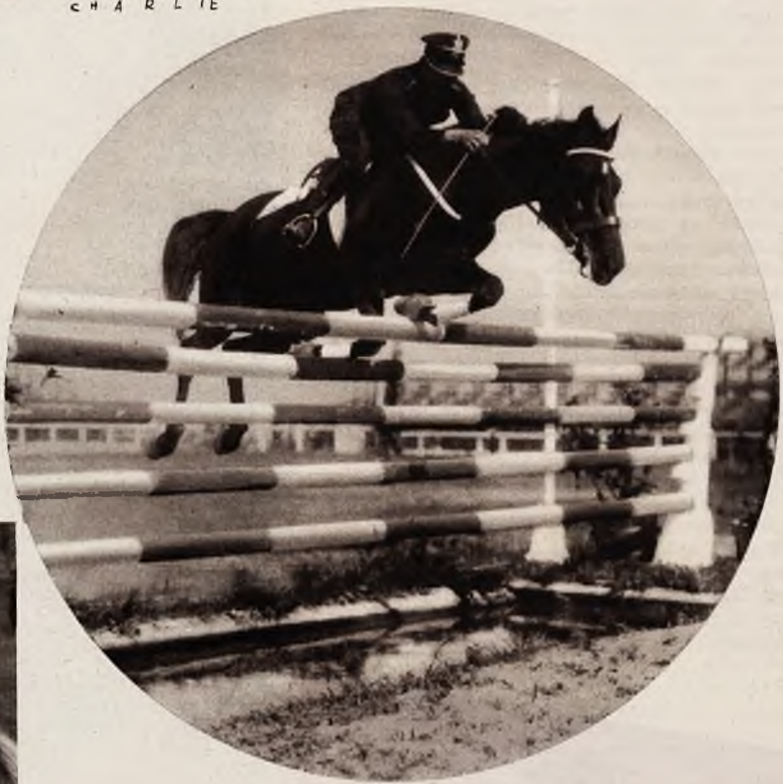


CHARLIE

Od chwili, kiedy musiałem zamienić prawdziwego wierzchowca na t. zw. „konika", na którym jeżdżę już nie po polach, lecz na papierze i kiedy przysłowiowy lemiesz „przekułem" na pióro Watermana i maszynę Royal, odczuwam zawsze na widok konia jakieś dziwne, nieco sentymentalne, ukłucie w serce. Auta, samoloty, autożyra — owszem, bardzo ładna rzecz, ale czyż zdołają one w tym stopniu co koń uwięzić sympatję człowieka, czyż zdołają stać się w tym stopniu co on towarzyszem jego i przyjacielem? Słyszę już chóralną odpowiedz automobilistów i lotników grzmiącą zdecydowanym: „Tak"! Może, ale ja osobiście wolę mimo wszystko to piękne, żywe stworzenie, które, choć nie posiada linij opływowych, dało tyle natchnienia malarzom, poetom, no i przedewszystkiem sportowcom. Moje sympatje „końskie" są może takim atawizmem, jak wiele innych, zwłaszcza u Polaków, mimo to tkwią dosyć głęboko, aby nie mogły dać się wykorzenić ani jeździe tramwajami ,ani samochodami, ani nawet samolotem.

Pierwsze zetknięcie się z koniem bywa zwykle dla każdego śmiertelnika dosyć pospolite, powiedziałbym — przyziemne, gdyż kończy się zwykle upadkiem na łono matki-ziemi. Dopiero, gdy znajomość zostanie przypieczętowana częstszemi wyjazdami, człowiek poczyna rozumieć konia i stanowić jedną całość z wierzchowcem. To samo uczucie miałem, lecąc samolotem, który przy pierwszych lotach był dla mnie rzeczą zupełnie obcą, odrębną, rządzącą się własną psychologją, której ja nie rozumiałem i „idącą" własnemi szlakami. Dopiero za którymś tam razem począłem go rozumieć, zrastać się z nim niejako.

Wszystkie te refleksje i wiele jeszcze innych nasunęły mi się, gdy wchodziłem do miłego i nadwyraz gościnnego domu pana Pawła Nerlich-Dąbskiego w Poznaniu przy ul. Mickiewicza, który wraz z uroczą swą małżonką panią Heleną należy, rzecz prosta, do entuzjastów konia. Znajomi to dawni, powiedziałbym nieomal starzy, o ile można tak mówić o ludziach młodych. Ileż razy słuchałem z zainteresowaniem szczegółów o jeździe konnej, opowiadanych przez pannę Helenę Mieczkowską, późniejszą kapitanową Nerlich-Dąbską! Dzieje jej wierzchówki „Dolly II" były mi nieomal równie dobrze znane, jak żywot wybitnych mężów stanu... Bo też dla sportowca, który w jeździe konnej znajduje satysfakcję sportową, wyładowanie swej energji życiowej, zgranie się w jednym rytmie ze szlachetnem zwierzęciem, — koń nie służy bynajmniej do przenoszenia się z miejsca na miejsce, lecz jest towarzyszem, powiernikiem, przyjacielem.



Ciekawy moment skoku kpt. Nerlich-Dąbskiego na koniu „Nero" w Nicei. Jak widać, koń zahacza prawą nogą o przeszkodę, co spowodowało jego upadek.



Na lewo: Jedyne w swoim rodzaju zdjęcie skoku przez przeszkody kpt. Dąbskiego, który pomimo straty strzemion dojechał szczęśliwie do mety na „Przybyszu".

Nie będę opowiadał o karjerze sportowej kapitana Nerlich-Dąbskiego, gdyż jest ona znaną zarówno sportowcom, jak też amatorom sportu. Postaram się tylko wspomnieć te momenty, które osobiście przeżyłem. Kpt. Dąbski jest znaną postacią w Poznaniu (jak zresztą we wszystkich ośrodkach sportu konnego w Polsce i zagranicą). On i starszy brat jego p. Jan Dąbski cieszą się szczerą sympatją szerokich kół towarzyskich, każdy zresztą z innych powodów. O ile p. Paweł z niebywałą maestrią bierze przeszkody, o tyle dla p. Jana niema przeszkód, któreby uniemożliwiły mu opowiedzenie dobrego kawału, chociażby był nie wiem jak pieprzny. Obaj są do siebie łudząco podobni: tylko że starszy zachowuje dyplomatyczny spokój aż do chwili, kiedy nie zacznie sypać konceptami, drugi ożywia się, gdy rozmowa schodzi na tory sportu. Pochodząc po mieczu i kądzieli z Litwy, gdzie rodzina Dąbskich osiedliła się w jednej linj w XVII wieku, przybierając drogą koligacji nazwisko bałtyckiej rodziny Nerlichów jako przydomku, obaj bracia młodość spędzili bądź w Petersburgu, bądź też w miastach dalekich kresów wschodnich, wstępując następnie do armji polskiej. O przeszłości rodziny Dąbskich nie będę mówił, gdyż jest ona dostatecznie znaną we wszystkich naszych dzielnicach z wielkich tradycyj i swej starożytności.



Pan Prezydent Rzplitej w rozmowie z kpt. Dąbskim podczas konkursów międzynarodowych w r. 1930. Na lewo zmarły premjer A. hr. Skrzyński.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

NOWOSCI. Holandji nie wystarczają już 4 znaczki wydawane corocznie „voor het kind" (dla dzieci) ale wprowadzono już na stałe wydawanie 4 znaczków „letnich" na cele dobroczynne. Są to i w tym roku wizerunki sławnych mężów, ale wykonanie jest bezporównania słabsze, aniżeli można było tego oczekiwać i są to może raczej próby nowego stylu w technice sztycharskiej. Najsłynniejszemi z postaci reprodukowanych są Erazm z Rotterdamu, jeden z najbardziej zasłużonych dla nauki humanistów, autor dzieł „Colloquia", „Economium moriae" etc., oraz fizyk Talma. Kolory 1.5 c. brązowo-szary, 6 c. karminowy, 5 c. zielony, 12.5 c. niebieski (ze zbioru dyr. A. Landaua). Dopłata do ceny normalnej jest bardzo niewielka. — W Austrji 8 maja jest „dniem matki", a więc okazja do wydania chociaż jednego znaczka musi być wykorzystana. Tradycji musi się jednak stać zadość i poziom artystyczny w wykonaniu graficznem utrzymany. Ciemnoniebieski w kolorze znaczek jest reprodukcją namalowanego w 1512 r. obrazu Dürera „Matka Boska z dzieckiem". Nakład 2 miljony.



Serja znaczków holenderskich, wydanych na cele dobroczynne. Na lewo widzimy Erazma z Rotterdamu, oraz (ostatni na prawo) sławnego fizyka Talmę



Na prawo: Dobroczynny znaczek anstrjacki, wydany z okazji „Dnia matki" 1936 z ważnością od 5 do 31 maja. Znaczek przedstawia słynny obraz Dürera.

FAŁSZERSTWA. Pojawiły się fałszywe... stemple gwarancyjne prof. Miksteina! Różnią się one znacznie od prawdziwych tak, że ktoś, kto posiada jedną sztukę z prawdziwym stemplem może fałszywą natychmiast rozpoznać. Najwybitniejszy znawca znaczków Polski p. prof. St. Mikstein (Kraków, Pomorska 8) bada prawdziwość swych stempli gwarancyjnych bezpłatnie (za zwrotem porta).

AUKCJE. Firma W Balasse, Bruksela, 61, rue de Midi otrzymała wspaniały zbiór do sprzedaży licytacyjnej (15 do 20 maja). Zdumiewają zwłaszcza stare znaczki belgijskie, dawne państwa niemieckie i specjalny zbiór Saary. — Dorotheum — Wien I. Dorotheengasse 17, 15 i 19 maja — rozmaite Europa.

ADRESY ZBIERACZY: Dr. A. Krajewski prof. — Poznań, Plac Działowy 6 — Polska, Litwa, Łotwa, Rosja, Włochy. — B. Bogusławski, uczeń, Bydgoszcz, Kołłątaja 6, eur., początkujący. — I. Krasicki, Lesko zamek, woj. Lwowskie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI. WP. Sawicki, Turek: Dziękujemy; może będziemy mogli reprodukować kartkę Pana w następnym numerze. — WP. I. hr. Krasicki, Lesko: Nie zajmujemy się dostarczaniem znaczków — prawdopodobnie będzie Pan mógł je otrzymać od kogoś z wyżej wymienionych. Przypuszczamy, że nie opłaca się zamieniać znaczków całkiem pospolitych.

Arystoteles, o ile sobie przypominam, powiedział, że fakty chodzą parami — możnaby powiedzenie to zastosować również do pp. Dąbskich, którzy tworzą idealną parę sportowców. Jeżeli się doda, że mieszkają w domu, w którym mieści się towarzystwo wyścigów konnych w Poznaniu i fakt, że panieńskim herbem p. Heleny jest herb Bończa, przedstawiający srebrnego konia, to trzeba przyznać, iż istnieją dane, aby nazwać to małżeństwo „klasyczną" parą sportową!

Siedzimy przy herbacie i rozmawiamy na temat interviewu. Śmieszna rzecz robić interview z ludźmi, których się dobrze zna! Ale trudno... wyjmuję ołówek, proszę o kawałek papieru i przybierając jaknajpoważniejszą minę, proszę o informacje. A więc kilka szczegółów z karjery sportowej kpt. Dąbskiego: Od r. 1922 do 1936 uzyskał on w konkursach krajowych 56 pierwszych nagród, 44 drugich, 26 trzecich, 109 dalszych. Na międzynarodowych konkursach 2 drugie, 2 trzecie, 4 czwarte, 5 piątych oraz 17 dalszych. W Nicei 1 szóstą, w Rzymie 1 piątą i 1 ósmą. Jeżeli chodzi o rekordy, to ustanowił on w skoku wzwyż 2 oficjalne, w konkursie amerykańskim („Szczęścia") 1928 nieoficjalny rekord. W zawodach „Military" mistrzostwo Armji 1927 (indyw.), mistrzostwo artylerji konnej 1928 i 1931 (indyw.), w zespole mistrzostwo armji „Military" 1928 trzecie miejsce, a artylerji konnej pierwsze miejsce 1929, pierwsze miejsce 1931, pierwsze miejsce 1933 i 1935, nakoniec jedno wicemistrzostwo Polski i jedno wicemistrzostwo armji, 4 pierwsze nagrody Pana Prezydenta R. P., a ostatnio 1936 w Zakopanem „Wielką nagrodę Tatr" im. posła M. Dąbrowskiego.

Gdy mówimy o początkach karjery sportowej kpt. Dąbskiego stawiam „sakramentalne" pytanie, „jaki moment zadecydował o pańskiej karjerze?". Otrzymuję odpowiedź zgoła nieoczekiwaną! Oczywiście, że będąc w szkole artyleryjskiej „Michajłowskiej" w Petersburgu, a następnie w korpusie kadetów w Pskowie, Paweł Dąbski ukochał konie, lecz bezpośrednim impulsem do dalszej „końskiej" karjery było to, że...

— Pewnego razu po obfitej libacji, czyli mówiąc poprostu „pod gazem" w r. 1921 postanowiłem wraz z kolegami spróbować zręczności w skoku na ujeżdżalni. Okazało się, że mimo niezwykłej sytuacji, skoczyłem lepiej od wszystkich innych. Dalsze próby i ćwiczenia utwierdziły mnie w tym kierunku. — Kpt. Dąbskiego trudniej interwiewować, jak dajmy nato Bernarda Shawa, który twierdzi, że nie znosi interwiewu i... ciągle ich udziela! Trzeba więc, jak to mówią Francuzi „tirer les vers du nez".

— Jaki był najdramatyczniejszy moment w pańskiem życiu?

— Nastąpiłby on, gdyby zachorował „Poluś". — Jest to ukochany koń kpt. Dąbskiego.

Jakkolwiek „savoir vivre" wymagałby, aby rozpocząć interview od pani domu, gdyż i ona może dzięki swoim sukcesom pretendować do listka laurowego w jeździe konnej, złożyło się tak, że zacząłem go od pana domu, należało więc to uchybienie coprędzej naprawić. W międzyczasie kpt. Dąbski oddaje się z upodobaniem treningowi sportowemu ze swym synkiem, Romkiem, który, sądząc po zamiłowaniu w jeżdżeniu na drewnianym koniku, utrwali sukcesy jeździeckie rodziców.

— Właściwą szkołę jazdy konnej przeszłam w Klubie Jazdy w Poznaniu, a pierwsze sukcesy, to pierwsza nagroda na konkursach w Poznaniu w r. 1925, dwie pierwsze w Poznaniu w r. 1926, jedna pierwsza i jedna trzecia w Warszawie na konkursach ogólno-polskich w 1926, a następnie jedna druga i trzecia w Poznaniu, na międzynarodowych konkursach w Warszawie zajęłam piąte miejsce w r. 1927, w Gnieźnie w 1929 zdobyłam jedną pierwszą i jedną drugą nagrodę i kilka innych.

Mieszkanie pp. Dąbskich wtóruje temu, co słyszę: wszędzie nagrody, puhary, wstęgi. Na ścianach dobre obrazy — piękny Malczewski, Kossak i inne. Zwraca moją uwagę śliczny, niebieski wazon zmontowany w bronzie.

— Czy to też nagroda konkursowa?

— Nie, to podarunek ślubny mojej babki.

Lecz czas ucieka. Trzeba wracać do Krakowa. Całuję drobną, a jednak nader energiczną w kierowaniu koniem rączkę pani domu, żegnam kpt. Dąbskiego i wracając do domu snuję na temat wizyty różne myśli. Dwie egzystencje z przeszkodami, jakże zgrabnie i dziarsko przezwyciężonemi! To rozumiem!

Jan Maleszewski.



ELEKTRON POEZJI

NOWELA

JULJUSZ MIEROSZEWSKI

Ten brzydki gentleman, siedzący na tarasie swej willi nad jeziorem Genewskiem — nazywa się Gog. Swego czasu wręczył on G. Papini'emu plik pomiętych papierów, zapisanych zielonym atramentem. Papini, jak wiadomo, zebrał je i wydał w książce noszącej tytuł „Gog".

Lack był właściwie inżynierem. Od trzech lat pełnił funkcje sekretarza Goga po dymisji Benrubiego.

— Czy przygotowałeś wszystko Lack? — spytał Gog, bawiąc się słomką, przez którą sączył oranżadę.

— Tak — odparł inżynier — wszystko jest gotowe.

Gog zamyślił się, śledząc swemi oczyma (z których każde było innego koloru) dwa jachty, zbliżające się do brzegu. Na pokładzie jednego z nich znajdowała się pani Overheim i francuski poeta Mailbaux.

— Ten zarozumialec nie przeczuwa nawet, co jest istotą poezji! — odezwał się, nie odwracając głowy.

Lack wiedział doskonale, że ma na myśli Mailbaux i ostatnią z nim rozmowę.

— Tak — przytaknął skwapliwie, choć bez cienia uniżoności. — Mailbaux, jak i wszyscy jemu podobni — jest świetnym rzemieślnikiem. W swoim wnętrzu posiada kilka gramów poezji, którą rozklepuje na najcieńsze blaszki z niebywałą wprawą i chytrą ekonomją.

— Ilu spodziewasz się dziś osób? — przerwał Gog.

— Wysłałem 50 zaproszeń.

— Czy masz które z nich przy sobie?

Lack wydobył z kieszeni podłużny karton o złoconych brzegach i wręczył go miljonerowi.

Gog spojrzał bez specjalnego zainteresowania i skinął w milczeniu głową.

— Dobrze. A instalacje w porządku?

— Wczoraj odbyłem pierwszą próbę, która powiodła się znakomicie.

Jacht, na którym jechali pani Overheim i pisarz francuski Mailbraux, przybił właśnie do molo.

* * *

Czarny jak antracyt portjer Stamp, z wybiciem godziny 8-mej zatrzasnął bramę wjazdową, wiodącą do willi Goga. Taki rozkaz otrzymał dziś rano. Trzydzieści dwie limuzyny, które przesunęły się cicho przed jego okrągłemi oczyma, ustawiały się teraz w równą tyraljerę pod zachodnim murem. Pierwsza limuzyna, utrzymana w kolorze ciemno-wiśniowym, należała do pani Overheim.

Wielki salon oświetlały cztery matowe kule zawieszone w rogach. Meble i obrazy zostały usunięte, a na ich miejsce pojawiły się miękkie fotele, ustawiono w pięć rzędów, kolisto obiegające estradę. Wyzłoceni lokaje rozmieszczali przybyłych gości wedle numerów zaproszeń.

Gwar rozmów unosił się w powietrzu jakby chmura moskitów. Gog, stojący za portjerą, myślał o niedoskonałości słowa.

— Już są wszyscy — szepnął Lack.

— Jak się czuje Vercoli? — zapytał miljoner.

— Czeka w gabinecie zapatrzony w fotografję Carlotty — odpowiedział inżynier.

Gog rzucił okiem na fosforyzującą tarczę swego zegarka.

— Dobrze, zaczynajmy!

* * *

Gwar widowni począł dławić potęgujący się z minuty na minutę jęk dzwonu. Kręgi dźwiękowych fal narastały na siebie, tworząc rozdrganego węża, który symetrycznemi spiralami układał się wolno w ciemnem wnętrzu salonu.

Ludzie ucichli... Najpierw powstało zdziwienie, a potem uległ się strach. Rozchylone wargi pań poczęły drżeć.

— Dość! — szepnął Gog.

Lack wykonał krótki ruch prawą ręką i na widowni stanęła martwa cisza. Ciemność zbiegła się w jeden punkt, jak gdyby niewidzialny pendzel zagarniał ją ku podjum. Kąty poczęły szarzeć, przetarte mdłem światłem.

— Pragnę wam powiedzieć — zabrzmiał niski głos Goga z estrady — jak bardzo daleką jest droga od zjawiska do słowa. Mowa nasza zasadza się na konwenansie i szablonie. Gdy mówię: czerwony — czyż wiem, że jestem zrozumiały? Pewien kolor kazano mi nazywać tem słowem, ale czy ktoś z was nie widzi go innym i inaczej — tego nie wiem. To zjawisko stało się przyczyną, że słowa, które w swym pierwotnym sensie miały być tylko dźwiękowemi symbolami rzeczy, faktów i uczuć — stały się samoistnemi bytami. I oto coraz trudniej się nam porozumieć. Poezja jest kilimem zdań, a urok jej oparł się na montażu słów, samoistnych istot — które same w sobie są już czemś i przestały oznaczać cokolwiek. W drodze, która leży między zjawiskiem a fonetycznie skonstruowanym symbolem, gubi się bezpośredniość i szczerość.

Człowiek dzisiejszy coraz silniej odczuwa niedoskonałość mowy. Jeżeli się zważy jaka przepaść dzieli wieki XX i XV we wszystkich przejawach ludzkiego ducha, śmiesznym wydaje się fakt, że na przestrzeni tych wieków słownictwo nasze wzbogaciliśmy zaledwie o dwadzieścia kilka procent. Pomiędzy światem a nami wyrósł mur słów, które podniosły bunt i nie chcą być już niewolniczym alfabetem do wypowiadania ludzkich myśli. Dzisiejszy wieczór poświęcamy nowej poezji bez słów. Niema w niej fałszu, ani fatalizmu kłamstwa.

Przy ostatnich słowach Goga zapaliła się nad widownią cynobrowa lampa. Mroki salonu chciwie wsycały soczyste światło. Na estradę wszedł szczupły mężczyzna z nisko opuszczoną, kędzierżawą głową.

— Oto stoi przed wami Lorenzo Vercoli — odezwał się Gog powtórnie. — Wczoraj czytaliście w prasie o tragicznym wypadku, jakiemu w tych dniach uległa jego narzeczona, słynna skrzypaczka florencka. Umarła w swej 22-ej italskiej wiośny — jak stłumiony aksamitem akord.

Lorenzo Vercoli rzucił krótkie spojrzenie w stronę miljonera, usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

W najcichszych pianissimach rodziła się skrzypcowa sonata. Powietrze syciło się melodją i rozwarło jak nawa akustycznego gotyku pod bogactwem tonacji.

— Carlotta! — rozległ się bolesny krzyk.

Przez widownię przebiegł zamaskowany dreszcz. Uróżowane usta pań drgnęły nerwowo — panowie zmarszczyli brwi.

— Carlotta!

Lorenzo Vercoli płakał. Skrzypcowa sonata płynęła romantyczna i słodka.

Gog wtulony w portjerę dał znak inżynierowi, który stał za nim. — Cynobrowa lampa pomału zgasła. Natomiast na estradzie pod pochyloną głowa palczącego Vercoli, zapalił się nagle rząd fosforyzujących punktów. Perliście wydłużone łzy Wocha przeciekały przez jego delikatne palce. W ciemności rozlała się estrada, postać, głowa i twarz Lorenza i w wąskiem polu widzenia zawisły tylko kobiece niemal dłonie. Światło akcentowało przez ułamek sekundy każdą łzę z osobną jarzącym refleksem. Bezszelestna symfonja łez przesączała się wyraziście przez struny palców.

(Dokończenie na str. 10-ej).

← **PIERWSZE RUMIANKI...**
Fot. Dr. P. Wolff

(Dokończenie ze str. 9-ej).

Od dołu zwartym łukiem poczęła wznosić się purpurowa łuna. Wzbierała i potężniała, aż czołem dotknęła twarzy płaczącego Vercoli.

Widownia zachłysnęła się wrażeniem jak musującem winem.

Perliste łzy załamały purpurową strugę światła w wielokrotności swych pryzmatów, i rozstrzeliły w ulewę barwistych wibrjonów. Każda łza krzyczała płomieniem i gasła smutnym karminem fioletu. Bolesne perły po umarłej miłości ożyły optyczną poezją, tworzą amalgamat nieznanych kolorów i majestatem tęczy uchwyciły oczy widowni w aksamitne obcęgi.

Romantyczna sonata skrzypcowa cichła w pianissimach...

— Carlotta!!

Ósmą minutę przesączały się gorące łzy przez skrzyżowane palce Lorenza Vercoli. Zespół elektrycznych lamp i reflektorów wmontowany pod powierzchnią szklanego stołu, zamieniał je w niepokojące barwne piękno. On sam — tragiczny efeb — nie istniał zasnuty ciemnością. Tylko jego łzy były elektronami poezji.

Mailbaux trząsł się z wściekłości. Oto on, poważny pisarz i poeta, tak bliski już fotela nieśmiertelnych, pozwolił wmieszać się w tę głupią aferę! Jutro w opisie tej błazeńskiej komedji — godnej zaprawdę Goga — wyczyta sto tysięcy jego poważnie myślących czytelników, nazwisko, które jest tarczą i drogowskazem dla wielu: Louis Mailbaux.

W dziewiątej minucie zapłonęła zwolna cynobrowa lampa i na estradzie zarysował się niekształtny tors Goga.

— Panie Mailbaux, dlaczegoś nie krzyknął, że Lorenzo Vercoli kłamie? O ileż mniej obstalunkowe były jego łzy niż pańskie poezje. Przyjdzie renesans liryzmu i rewizja słowa. Któż z was nie pamięta niemego filmu ilustrowanego muzyką? Czyż nie zauważyliście, że istnieje potencjał psychiczny, w którym następuje najściślejsze skojarzenie przeżyć wizualnych z melodją? — Pamiętam sceny ze starych filmów np. „Student z Pragi" z Konradem Veidtem, w którym arealność obrazów pojmowałem muzyką. Była to bajka średniowieczna, która nie mogła być mówiona. Viedt sprzedał swe odbicie w lustrze: duszę! Jakichże słów można było użyć, aby nie były śmieszne i burzące? Chemizm barwy i tonu — związek wraeżń optycznych z melodją kryje w sobie nieoczekiwane możliwości. Wielu zrozumiałoby lepiej i głębiej dziewiątą symfonję, gdyby ktoś stworzył do niej libretto kolorów. Nie idzie o obrazy przeładowane literacką treścią, lecz o pokrewieństwo tonu i barwy.

Fizyka i chemja upraszczają swe problemy w drodze ku odkryciu jednego pierwiastka i jednego prawidła. Medycyna i bijologja znajdują się na krok od pewności, że istnieją wspólne substancje hormonalne dla roślin, zwierząt i ludzi. W sztuce wybujaliśmy słowem: syntezę otrzymamy w zespoleniu słowa tonu i barwy.

Mailbaux nie słyszał ani jednego słowa z przemowy Goga. Nim zapłonęła cynobrowa lampa, opuścił salon z oznakami silnego wzburzenia.

Tego samego wieczoru Lack — niezręcznie zakłopotanemu Lorenzo Vercoli wręczył czek na 5 tysięcy franków. Niektóre strony życia pozostaną bowiem zawsze jednakie.

CAPRI
ZACZAROWANA WYSPA

Capri należy chyba do najpiękniejszych zakątków na ziemi i trudno się dziwić, że są ludzie, którzy przyjechawszy tam na krótki tylko pobyt, nieraz pozostawali miesiącami, czasem latami. Pewien Anglik, który przyjechał z Neapolu na parę godzin, tak się zachwycił tą wyspą, że został na niej przez 36 lat, do końca życia, opuszczając ją najwyżej na kilka godzin, kiedy interesa zmuszały go do wyjazdu. Również Axel Munthe od pierwszego swego pobytu na Capri, marzył tylko o tem, ażeby osiąść tam na stałe i w kilkadziesiąt lat później zrealizował to marzenie, stawiając swoją cudowną willę na Anacapri — Tam też spędził ostatnie 11 lat swego życia Tyberjusz, jeden z najnieszczęśliwszych cezarów. Do dziś pokazują ślady dwunastu zamków, zwanych „zamkami Tyberjusza", wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zostały one jednak wzniesione przez Augusta, który na Capri dosyć dużo przebywał, a który znany był ze swego zamiłowania do budowania, w przeciwieństwie właśnie do Tyberjusza. Prawdopodobnie wzniesienie tych zamków, jak również okrucieństwa Tyberjusza, o których z prawdziwą przyjemnością i niewyczerpaną fantazją opowiada do dziś każdy mieszkaniec wyspy, należą do legend, które coraz bardziej rozwiać muszą ścisłe badania historyczne. Na wyspie przez lata całe mieszkał Gorkij, Krupp miał tam willę, i kosztem swoim wybudował jedną z najpiękniejszych dróg. Przyjeżdżał tam też często Hans Heinz Ewers, ze znanych Polaków osiedlił się na Capri na całe lata Jan Styka, który należał wśród miejscowej ludności do bardzo popularnych postaci.

Na prawo: Z drogi prowadzącej do Anacapri rozłacza się wspaniały widok na dużą część wyspy.



Flora wyspy odznacza się wspaniałemi agawami.



Atmosfera Capri jest bajecznie wesoła i beztroska. Wszystko jest przepojone słońcem. Na tle złotych w promieniach słonecznych skal i szafirowego morza odcinają się śnieżnobiałe domy o płaskich dachach. Wysoko w niebo strzelają smukłe palmy. — Mury obrośnięte są kaktusami, różami i kaprifolium, na kamieniach wygrzewają się wielkie, leniwe jaszczurki. Ludność wesoła, barwna, rozśpiewana, morze nieprawdopodobnie niebieskie i tak czyste, że widać na kilkanaście metrów wgłęb każdy kamyczek na dnie. Klimat jest tam wprost idealny, łagodne i słoneczne zimy, a w lecie prawie zawsze chłodzący wietrzyk od morza, który chroni przed dokuczliwym upałem. Na całej wyspie jest tylko jedna droga automobilowa, prowadząca na Anacapri.

Uliczki tak wąskie, że w wielu miejscach rozłożywszy ręce, można dotknąć domów naprzeciw siebie stojących.

Rano słychać tupot osiołków, które w koszach, na grzbiet zarzuconych, przywożą aprowizację dla miateczka. Zaraz potem rozpoczyna się ruch, otwieranie nielicznych sklepów, śpiewy i śmiechy. Te śpiewy, muzyka rozlegają się przez cały dzień, do późnej nocy ze wszystkich stron wyspy. Wieczorem większa część mieszkańców gromadzi się na Piazzetta, ażeby patrzeć przy zachodzącem słońcu na zatokę Neapolu i na Wezuwiusz. Widok ten jest bajecznie piękny, i chociaż wszyscy mieszkańcy znają go na pamięć, co wieczór nanowo się nim zachwycają. Morze z purpurowo złotego przechodzi w szary błękit, w Neapolu wykwitają tysiące świateł, które odbijają się w wodzie. Ciepły wiatr przynosi ciężki, duszący zapach kwiatów, ktoś zaśpiewa Santa Lucia albo Serenadę, na niebie także zaświecają się światła. Mrugają miljony gwiazd, albo wielki blady księżyc płynie nad górami. Co wieczór tu jest jednako, od tysięcy lat. Na dole szumi morze, palmy szeleszczą tajemniczo.

Capri, cudowna, zaczarowana wyspa!

Ewa Dworska.

NASZA NOWA ANKIETA

KOGO NAZYWAM 100%-WYM MĘŻCZYZNĄ?



Znana literatka p. Marja Kuncewiczowa.

IV. Literatka: M. Kuncewiczowa.

Pani Marja Kuncewiczowa wyjeżdża na dłuższy pobyt zagranicę, a zależy nam na tem, by od znanej i cenionej autorki uzyskać odpowiedź na naszą nową ankietę.

Mimo nawału prac przygotowawczych do wyjazdu, p. Kuncewiczowa znajduje chwilę czasu na to, by pogawędzić na poruszony przez nas temat.

— Pyta pan o stuprocentowych mężczyzn — mówi Marja Kuncewiczowa. — Czy oni wogóle istnieją? Otóż byłam zawsze i jestem niezwykle tępa w kwestjach arytmetyki. Boję się mówić o procentach; gotowam popełnić jakąś gafę. Myślę jednak, że te sto procent — to ma być taki sposób określenia doskonałości. A więc chodzi o mężczyznę doskonałego. Jeśli tak, to sprawa jest niezwykle prosta: mężczyzna doskonały, to ten, którego się kocha. No, a są przecież kobiety zakochane; muszą zatem istnieć stuprocentowi mężczyźni.

Jestem wprost zaskoczony zwięzłą, a jakże trafną odpowiedzią autorki. Postanawiam i ja zaskoczyć moją interlokutorkę niespodziewanem pytaniem, choć zdaję sobie sprawę, że wobec sposobu, jakim określiła ona stuprocentowego mężczyznę, pytanie moje będzie conajmniej — niedyskretne. Jednak ryzykuję:

— Czy spotkała pani takiego stuprocentowego mężczyznę w swem życiu?

Moja sympatyczna rozmówczyni nie obuzra się na mnie, lecz odpowiada z uśmiechem:

— Odpowiedź na pańskie pytanie byłaby zbyt daleko idącem zwierzeniem. Ja zaś tak wiele piszę, że na zwierzenia „ustne" nie mam już sił.

— Z tego co pani mówi wynikałoby jednak, iż bohaterki pisanych przez panią powieści zwierzają się za panią!

— Może i jest w tem część prawdy. Niechże się pan zatem zapozna z mojemi bohaterkami, a zapewne popełnią jakieś niedyskrecje. Jeśli już o tem mowa, zaznaczę, że za najbardziej powołaną do wypowiedzenia się w kwestji stuprocentowych mężczyzn uważam bohaterkę... najbardziej zakochaną. Więc chyba Anię z „Twarzy mężczyzny" w jej zakopiańskim okresie.

Zapytuję jeszcze o plany najbliższej podróży autorki.

— Dokąd wyjeżdżam? — mówi literatka. — Jestem na wyjezdnem do Palestyny i Egiptu, a więc do ojczyzny przysłowiowych stuprocentowych mężczyzn.

— Zapewne przyjrzy się pani bliżej niejednemu z owych gorących Arabów. Czy ma pani zamiar zjawisko to uwzględnić w swoich studjach?

— Tak — kończy autorka — ale to przecież będą studja literackie. Nie należy zatem spodziewać się po mnie, że na tych studjach zyska coś zawiła matematyka erotyczna.

V. Tancerka: Ziuta Carlo.

Długo się namyślałem, czy iść po ten wywiad. Bądź co bądź i dziennikarz, to jest człowiek, pracujący o każdej możliwej i niemożliwej godzinie dnia, ma prawo do tego, by o jedenastej wieczorem położyć się poprostu do łóżka. Cóż jednak robić, jeśli panna Ziuta zaczyna swą pracę dopiero przed północą, a dzień jest jej porą wypoczynkową. Jak zgoła niestosownem byłoby zbudzenie dla wywiadu — powiedzmy — urzędniczki biurowej o 3-ciej nad ranem, tak i panny Ziuty nie wypada trudzić o 3-ciej po południu.

Jeden z najwytworniejszych lokali dancingowych stolicy. Dziesięć pań w eleganckich, wieczorowych toaletach. Siedzą przy stolikach po dwie, trzy lub samotnie. Nienaganny maquillage i umiejętnie trzymany papieros. To tancerki „salonowe". Używając popularnego wyrazu — fordanserki.

— Czytała pani w „Asie" — zapytuję jedną z nich, a mianowicie p. Ziutę Carlo — nasze wywiady na temat stuprocentowego mężczyzny?

— Ależ naturalnie — odpowiada panna Ziuta — szalenie ciekawa historja!

— No i cóż pani myśli o tej sprawie?

— Myślę, że nie wszystko co myślę da się powiedzieć.

— O!?...

— Sądzę, że niema drugiego zawodu, w którym pracują kobiety, tak bardzo narażającego nas, płeć słabą, na zbytnią... stuprocentowość męską! Kilka godzin możnaby mówić, ale chyba „przy drzwiach zamkniętych".

— Warunek istotnie trudny do urzeczywistnienia — śmieję się — wszakże do sali, w której się znajdujemy prowadzi coś aż pięć wejść! Ale już z tego, co pani powiedziała, wnioskuję, iż ideałem mężczyzny, zdaniem pani, w każdym razie nie jest mężczyzna zbyt „zaborczy".

— Słusznie! Zwłaszcza, iż z tą stuprocentową zaborczością łączy się często nonszalancja i lekceważenie w odniesieniu do kobiety. Są panowie, bywający w najelegantszych lokalach, którzy przychodzą prosić mnie do tańca z ręką w kieszeni i papierosem w ustach. Zapominają, iż zarówno jako kobiecie pracującej przecież w dość ciężkim zawodzie, no i wogóle jako kobiecie, należy mi się ta odrobina szacunku.



Zdolna tancerka stołecznych dancingów p. Ziuta Carlo.

— Ale chyba nie wszyscy mężczyźni zachowują się w ten sposób? — pytam.

— Oczywiście. Zauważyłam jednak rzecz ciekawą. Tańcząc jedynie w pierwszorzędnych lokalach Warszawy i innych naszych miast, spotykam się często z cudzoziemcami. Oni wszyscy, bez wyjątku są „correct".

— „Correct", to znaczy jacy?

— Panowie ci nie uważają tancerki za objekt wynurzeń erotycznych, lecz poprostu za kobietę dotrzymującą im towarzystwa podczas wieczoru, spędzonego w lokalu dancingowym. O to towarzystwo potrafią oni poprosić w sposób uprzejmy; rozmowę prowadzą nie nużącą; są dobrze ułożeni, dobrze tańczą i co bardzo ważne — są czyści. Moje honorarjum potrafją mi wręczyć w sposób dżentelmeński i subtelny.

— Więc to jest według pani ideał mężczyzny?

— Tak — mówi panna Ziuta — tak, mojem zdaniem, zachowuje się stuprocentowy mężczyzna.

Po chwili panna Ziuta dodaje wesoło:

— Czytałam w jednym z poprzednich wywiadów na temat ankiety, w której i ja zabieram głos, iż panna B. manicurzystka, skarżyła się, że na dwudziestu klijentów, dziesięciu proponuje manicurzystce kino, no i co za tem idzie, flirt. Otóż pobijam ten rekord. W naszym zawodzie na dwudziestu mężczyzn — stu proponuje flirt, nie komplikując go nawet owem tradycyjnem zaproszeniem do kina; czasem jeden mężczyzna potrafi w ciągu jednego wieczoru dziesięć razy zaproponować to samo!

Kończymy rozmowę. Patrzę na zegarek. Jest blisko dwunasta w nocy. Myślę w skrytości ducha: „Ach, spać! Jak późno!"

Panna Ziuta wstaje od stolika. Idzie... do pracy. Dziwna tu istnieje różnica między nocą i dniem...

Romit.

3 OKRĘTY PRZEZNACZENIA



Rex Cambbell w jedynm ze swych artykułów zwrócił uwagę na fakt, że trzy rozdziały współczesnej historji znalazły swój tragiczny finał na pokładach angielskich okrętów.

Nazwy tych statków brzmią: „Bellerophon" — „Glow-Worm" i „Enterprise". Na pierwszym z nich odpłynął na wyspę św. Heleny wielki Korsykanin, cesarz Francuzów Napoleon Bonaparte — na drugim odbył swą ostatnią podróż na Maderę cesarz monarchji austrjacko-węgierskiej, Karol — a na trzecim z francuskiego portu w Dżibuti zbiegł ze swej ojczyzny król królów Haile Selassie, cesarz Etjopji.

„Bellerophon" była angielską fregatą, czysto żaglową o rasowej, smukłej sylwetce. Był to jeden z tych okrętów, których eskadry pod wodzą admirała Nelsona zadały cios flocie francuskiej w bitwie pod Trafalgar. Te trójmasztowe fregaty ugruntowały potęgę Wielkiej Brytanji na morzach, — od nich datuje się prymat brytyjskiej flagi na wodach świata.

Ostatnie badania historyczne ustaliły, że Napoleon, wstępując za namową angielskich agentów na pokład fregaty „Ballerophon" nie wiedział dokąd popłynie. Sądził podobnie jak i jego najbliższe otoczenie — że wyląduje w Anglji, gdzie żyć będzie jako prywatny człowiek. Wielki Korsykanin nie zdawał sobie sprawy, że Anglja bała się nawet zwyciężonego Napoleona — ba! drżała przed nim cała Europa. Daleko od wybrzeży francuskich kapitan statku zdradził cesarzowi cel podróży. Napoleon powiedział, że wolałby był śmierć niż wygnanie na wyspie św. Heleny — lecz wybór był już dokonany. „Bellerophon" płynęła pełnemi żaglami ku samotnej wyspie. Napoleon chodząc wielkiemi krokami po pokładzie, patrzył na powiewającą dumnie w górze angielską flagę. Przypominała mu ona zapewne Trafalgar, który stał się grobem jego marzeń. Nie Francja, lecz Anglja od dnia tej bitwy weszła w okres najświetniejszej potęgi.

„Glow-worm" nie był romantyczną żaglową fregatą, lecz małym krążownikiem używanym przez angielską marynarkę do pościgu za piratami rzecznemi. Niewielki, zwrotny i zwinny dawał sobie doskonale radę zarówno na pełnem morzu, jak i w deltach rzek. Uzbrojony w szybkostrzelne małokalibrowe działka rozwijał, jak na ówczesne czasy, dużą szybkość i niejeden przemytniczy statek na wodach bliskiego wschodu poszedł za jego „pomocą" na dno.

Kapitan tego okręciku nigdy nie marzył, że przypadnie mu kiedyś zaszczyt gościć na pokładzie cesarza. Koronowane osobistości, jeżeli wstępują na pokład, to zazwyczaj wyróżnienie to spotyka potężne okręty admiralskie, a w każdym razie najmniej okręty linjowe.

A jednak któregoś pochmurnego dnia o świcie z portu w Bajaer wyszedł mały krążownik „Glow-worm", uwożąc na swym pokładzie ostatniego cesarza monarchji austro-węgierskiej, Karola. Mały brytyjski krążownik wziął kurs na Maderę. Z tej przepięknej wyspy ostatni Habsburg, który nosił na swych skroniach koronę, nigdy już nie powrócił.

I znów brytyjska flaga patronowała zakończeniu wielkiego rozdziału historji.

Trzecim okrętem angielskim, który odwiózł również cesarza na wygnanie — jest śnieżno-biały krążownik „Enterprise". Przed kilkunastu dniami zawinął ten wytworny i elegancki okręt do francuskiego portu w Dżibuti. Łódź motorowa przywiozła z portu negusa Haile Salasie i jego najbliższe otoczenie. Marynarze angielscy sprezentowali broń: krótki sygnał, zgrzytnął łańcuch kotwiczny i biały okręt ruszył w podróż.

Minęło zaledwie kilkanaście dni od chwili, gdy były król królów, lew Judy, ostatni cesarz na czarnym lądzie, negus Haile Selasie, odpłynął ze swej ojczyzny na pokładzie angielskiego statku. Jego przyszły los nie jest wiadomy — nie dokonał się jeszcze. Lecz flaga brytyjska, która powiewała na „Enterprise" nie stanowiła pomyślnej wróżby dla czarnego majestatu. Nie ku chwale odpływali cesarze na brytyjskich okrętach — lecz na wygnanie i zły los.

Tak oto w cieniu brytyjskiej flagi rozegrał się epilog ostatniej wojny kolonjalnej na lądzie afrykańskim. Gdy staro żytny Rzym przygotowywał się do wspaniałego święta wskrzeszenia Imperjum Romanum po 15 wiekach, gdy zwycięski marszałek Badoglio gotów już był przybrać zaszczytny tytuł wicekróla Abisynji po zajęciu Addis-Abeby, negus płynął na białym krążowniku „Enterprise" do Palestyny.

„Bellerophon" — „Glow-worm" — „Enterprise". Fregata — kontrtorpedowiec — krążownik. W ostatnich 120 latach Wielka Brytanja postawiła do dyspozycji dziejowego fatum trzy okręty, na pokładzie których zlikwidowały się trzy cesarstwa. Okręty te przejdą do historji.

Jul. Mier.





Trzej cesarscy „pasażerowie" wygnańczych angielskich okrętów: Karol I, Napoleon I, Haile Sellassie.



„Bellerophon" odwiózł Napoleona I. na wyspę św. Heleny.



Na prawo: Krążownik angielski „Enterprise", na którym cesarz abisyński wyjechał na wygnanie.

MIASTO MARSZAŁKA...



OLBRZYMY WŚRÓD ŻÓŁWI



Na lewo: Polowanie na żółwia jest rzeczą nader trudną.

W życiu codziennem mówi się o tem, że czas wlecze się „żółwim krokiem", niekiedy wspomina się o żółwiej zupie, jako wystawnem daniu, ale rzadko kiedy można zobaczyć żywego żółwia. Czasem tylko spotyka się go w akwarjum czy terrarjum, na wystawie sklepu zoologicznego lub w ogrodach zoologicznych.

W Polsce żyje jeden gatunek żółwia — żółw błotny, zamieszkujący bagna i rzeki. Jest on jednak karłem w porównaniu do krewnych swych — olbrzymów, żyjących w krajach podzwrotnikowych. Dawniej pospolity, dzisiaj został już znacznie wytępiony tak, że nawet w ostatnich czasach pojawiła się ustawa, mająca na celu ochronę naszego żółwia przed całkowitą zagładą.

Na Ocanie Spokojnym, w pobliżu Ekwadoru znajduje się archipelag wysp Żółwich, znanych przeważnie pod nazwą Galapagos. Nazwa ta jest uzasadniona dlatego, że wyspy te były niegdyś siedliskiem olbrzymich, lądowych żółwi. Według relacyj podróżników, w niektórych miejscach tych wysp pojawiały się one w tak licznych stadach, że niekiedy można było przebiedz nawet kilkadziesiąt kroków, stąpając jedynie tylko po ich skorupach. Dzisiaj należą już do rzadkości, ponieważ człowiek wytępił je, zabijając dla smacznego, delikatnego mięsa, czy też oleju lub skorupy.

Zwierzęta te niecodziennym swym wyglądem przypominają olbrzymie, wymarłe już gady z ubiegłych epok geologicznych. Ciekawie wygląda takie zwierzę, którego miękkie ciało od strony grzbietowej i brzusznej okrywa niby zbroja — mocny pancerz, utworzony z szeregu tarcz kostnych. Żółwie olbrzymie, zwane także słoniowemi, dochodzą do 2 metrów długości oraz ponad 200 kg wagi. Na olbrzymie takim stanąć może człowiek, nie wyrządzając tem szkody zwierzęciu. Dla podniesienia z ziemi takiego żółwia-olbrzyma potrzeba kilku ludzi.

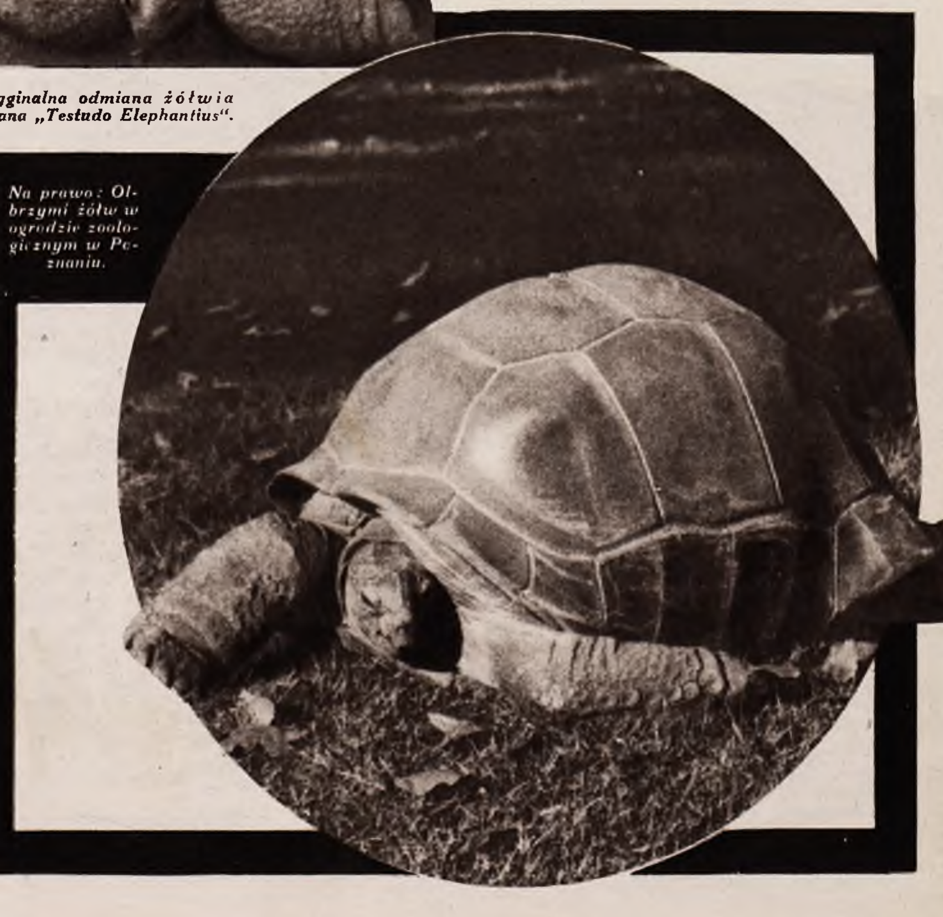
Żółwie przebywają głównie w okolicach wilgotnych, nie brak ich jednak także i w miejscach suchszych, wyżej położonych. Lubią one bardzo wodę i piją jej wiele, chętnie także zagrzebują się w mule. Nie na wszystkich jednak wyspach znajduje się woda. Tam więc, gdzie jej niema, uzupełniają żółwie jej brak przez zjadanie mięsistych łodyg kaktusów lub soczystych liści i jagód. Nieraz muszą się obywać wodą, pochodzącą z rzadkich opadów atmosferycznych.

Ciekawie bardzo zachowują się żółwie w poszukiwaniu wody. Źródła po największej części znajdują się w środku wysp, na miejscach wyżej wzniesionych. Dla zaspokojenia pragnienia wędrują niejednokrotnie żółwie bardzo daleko i wloką się swym „żółwim krokiem" dniem i nocą, posuwając się naprzód. W ciągu godziny przejdzie żółw mniej więcej około 300 metrów. Przez stałe wędrówki temi samemi drogami wydeptały żółwie szereg ścieżek, prowadzących do źródła, których ślady bywały czasem dla odwiedzających wyspy Hiszpanów drogowskazem w poszukiwaniu wody. Niekiedy dla zdobycia wody muszą kroczyć po stromych skałach, w czem pomocne są im silne pazury. W okresie lęgu samce nawołują samice głosem podobnym do szczekania i wycia psa. Samice składają jajka białe, oskorupione lub okryte pergaminowatą osłoną, wynoszące w obwodzie kilkanaście centymetrów, albo w gruncie piaszczystym i wtedy wykopują dołek, który z wierzchu przysypują dobrze piaskiem albo też, gdy grunt jest kamienisty, ukrywają je w szczelinach. Wylęgające się z jajek młode narażone są na poważne niebezpieczeństwo ze strony jastrzębi i innych drapieżnych zwierząt, żółwie zaś morskie także ze strony rekinów i innych żarłocznych ryb tak, że stosunkowo niewiele młodych uchodzi z życiem. Żółwie osiągać mogą wiek bardzo poważny, nieraz nawet i kilkuset lat.

Od chwili odkrycia wysp przez Hiszpanów rozpoczęło się masowe tępienie żółwi. Polowano na nie zapamiętale dla dużych korzyści materjalnych, jakie dawały człowiekowi. Do przysmaków należało mięso, którego każdy żółw mógł dostarczyć w znacznej ilości, bo 40—100 kilogramów, a także dla tłuszczu, z którego otrzymywano czysty olej. Dla przekonania się, czy warstwa tłuszczu pod tarczą grzbietową jest dostatecznie gruba dla jej przeróbki, nacinano schwytanemu żółwiowi skórę w pobliżu ogona. Gdy próba wypadła ujemnie, puszczano żółwia na wolność, w przeciwnym



Orgginalna odmiana żółwia zwana „Testudo Elephantius".



Na prawo: Olbrzymi żółw w ogrodzie zoologicznym w Poznaniu.

zaś razie zabijano go. Ponieważ niezbyt wiele oleju otrzymuje się z jednego żółwia, bo zaledwie kilkanaście litrów, zatem dla otrzymania go w większej ilości, dziesiątkowano je nielitościwie. Dzisiaj duże ilości porozrzucanych szkieletów oraz skorup żółwi-olbrzymów, a także niewielka ilość żywych osobników świadczy wymownie o niszczycielskiej działalności człowieka.

Zagłada grozi żółwiom-olbrzymom pochodzącym nietylko z wysp Galapagos, ale także i wysp położonych na Oceanie Indyjskim, jak Aldabra, św. Maurycego, Diego Rodriguez, tem więcej, że polowanie na żółwie nie przedstawia większych trudności ani niebezpieczeństwa. Najczęściej chwyta się samice, co także w znacznej mierze przyczynia się do wytępienia żółwi, gdy po złożeniu jaj wracają do swych siedzib. Przewraca się bezbronne zwierzę na grzbiet, ponieważ z tego położenia nie jest wstanie wrócić do normalnej pozycji i chwyta znowu okaz następny. W ten sposób można złowić wielką ilość żółwi i wybrać z nich okazy najpiękniejsze.

Gdzieniegdzie poluje się na żółwie z pomocą harpuna, jeszcze inaczej przy pomocy łodzi żaglowej. W odpowiedniej chwili, gdy łódź przepływa koło żółwia, czatownik skacze na grzbiet jego i ściska go mocno za szyję tak, że niebawem biedne zwierzę wyczerpuje swe siły i obezwładnione zostaje wciągnięte do łodzi. W okolicach Australji polowanie na żółwie jest jeszcze ciekawsze. Połowu bowiem dokonuje się przy użyciu specjalnej ryby, t. zw. trzymonawu lub podnawki, podobnej do węgorza, która ma tę właściwość, że zapomocą przylgi, znajdującej się na wierzchu głowy, przyczepia się do pływających zwierząt morskich oraz żółwi. Gdy ukaże się żółw, ryba zostaje wypuszczona na długiej linie, przywiązanej do jej ogona. Podpływa ona do żółwia i przyczepia się do jego skorupy tak silnie, że przez przyciąganie liny przywiązanej do jej ciała można z nią wyciągnąć zarazem i żółwia. O ile zaś podstęp ten nie uda się spowodu zbyt wielkiego ciężaru żółwia, wtenczas krajowiec podpływa do żółwia w ślad za liną i chwyta go bez trudu.



Gromada żółwi pod wodą.

Do żółwi olbrzymów należy morski „Rudelnik zielony" (Chelone Midas), zamieszkujący morza podzwrotnikowe, głównie w okolicach Jamajki, osiągający wagę 450 kilogramów. Poławiają go dla smacznego mięsa, także tłuszczu i skorupy. Krewny jego „Rudelnik żółwiniak" (Chelone imbricata) dostarcza cennego bardzo szyldkretu cz. żółwiny, którą stanowią zrogowaciałe płytki naskórka, pokrywające płyty kostne. Od dawien dawna Hindusi a także i Chińczycy używali tej substancji do wyrobu ozdobnych przedmiotów, z czasem zaczęto z niej korzystać także w Europie. Zdejmowanie szyldkretu jest wysoce barbarzyńskie, żółwina bowiem najlepiej odchodzi pod działaniem wyższej temperatury. Złowione zatem żółwie albo praży się żywcem nad ogniem póki żółwina nie zejdzie albo też polewa się je wrzącą wodą. Następnie biedne zwierzęta puszcza się na wolność. Krajowcy bowiem, chwytający żółwie sądzą, że siła życiowa tych zwierząt jest tak wielka, że okaleczenie takie nie przyniesie im zbytniej szkody i że po jakimś czasie wrócą do normalnego stanu. Jednym z olbrzymów najbardziej zbliżonych do wygasłych już, żyjących dawniej żółwi, pozbawionym rogowego pancerza jest „Nieszpon skórzak" (Dermatochelys coriacea), który osiąga 2 metry długości ciała i waży ponad 500 kg. Dawniej częsty we wszystkich podzwrotnikowych morzach, dzisiaj, prześladowany przez człowieka jest już na wymarciu. Zbierano szczególnie chętnie jego jaja, które uważano za przysmak.

Na prawo: Polowanie na żółwie olbrzymy na wyspach Galapagos.





Pałogłowiec sjamski odznacza się olbrzymią głową.

Żółwie olbrzymie, stanowiące bardzo ciekawą grupę zwierząt, przypominających wygasłe już gady z epok minionych stają się niestety coraz rzadsze. O zachowanie nielicznych już resztek tych „zabytkowych" zwierząt zabiegają już i w krajach podzwrotnikowych a przedewszystkiem na wyspach Galapagos, gdzie pod wpływem starań przyrodników amerykańskich rząd ekwadorski wydał rozporządzenie, odnoszące się do ochrony żółwi-olbrzymów.

Dr. Z. M.



W maleńkich kabaretach na Montparnasse — barman przyrządzający zdradliwe cocktaile jest pierwszą i najważniejszą osobą...

Jeden z tych barwnych motyli, spowity w lśniący kolorami tęczy kostium, który najswobodniej porusza się w atmosferze gwarnych sal kabaretowych.

BOÎTES DE◆NUIT

Zapada wieczór nad Paryżem i nagle wszystkie światła olbrzymiego miasta zajaśniały w pełnym blasku. Sekwana odbija w leniwej fali światła białe i czerwone mostów, które jak żebra olbrzyma połączyły dwie części Paryża nad jej sennemi barkami, nad małemi parowcami posuwającemi się niestrudzenie wzdłuż nasianych przeszłością brzegów. Ulice wyrysowały się tysiącami latarń, a lepki asfalt jezdni przykleja matowe blaski.

Ale w niektórych dzielnicach Paryża, a przedewszystkiem na Montmartrze i na Montparnasie świateł jest więcej, najwięcej! Tam obrały sobie siedzibę niezliczone lokale rozrywki nocnej, codziennie zamykane szaremi drzwiami, conocnie otwierane drzwiami przepychu, beztroski, światła, muzyki...

Niezliczone „boîtes-de-nuit" Paryża błyszczą wieczorową godziną, by błyszczeć tak prawie do świtu i tylko na powoli cichnące ulice wysypują się zza ich drzwi i okien delikatne rytmy sciszonej muzyki, jakieś okrzyki i śmiechy.

Paryż jest stolicą międzynarodową — niema rasy, którąby nie była tu reprezentowana. I niema rasy, którąby nie była przedewszystkiem reprezentowana w nocnych lokalach zabawowych... „Białe twarze" — w niektórych lokalach nawet w mniejszości — zmieszane są przez boga zabawy z twarzami czarnemi, żółtemi, rdzawemi, śniademi, czekoladowemi... Wszystkie kraje Europy podają sobie tu ręce z najdalszemi nawet wyspami egzotycznych mórz, z wnętrzem żółtej Azji, z spaloną Afryką i rzuconą na kraj mapy świata Australją...

A kobiety? W lokalach nocnych Paryża codzienny przegląd typów kobiecych świata... Każda bawi się inaczej, każda inaczej tańczy, każda inaczej śmieje się i pije wino... Jest w tem wszystkiem jakaś niezastąpiona atmosfera, urok męczący i duszny, jakby drogą jakichś czarów piło się ekstrakt przedziwny wszystkich słodyczy ziemi naraz, jakby w jakimś niemożliwym skrócie widziało się naraz całą jej piękność...

Są wśród tych „boîtes-de-nuit" lokale specjalnie murzyńskie albo specjalnie ulubione przez rasę żółtą, albo znów takie, gdzie Ameryka Południowa najlepiej się bawi.

Wśród stolików zostawione jest rozmyślnie bardzo szczupłe miejsce dla tańczących. Tańczy się w ciżbie, w spoconym tłoku, a właściwie prawie stoi się w miejscu w fali ciał rozgrzanych winem i zmysłami, na wtórze szalonej melodji z nad dalekich mórz, wyrażającej pierwotną tęsknotę i pierwotne pragnienie wieczystej rozkoszy.

A nagle światła gasną i nad wracającą do stolików falą splecionych postaci rwie się nagle dziki śpiew albo — przeciwnie — łagodna piosenka. Albo sentymentalna, francuska, która pada jak krople deszczu na spiekłą glinę, albo dzika, murzyńska, nieartykułowana, która zacina jak bat. W półmroku lecą te słowa nad zasłuchaną salą, która nad półwypitemi kieliszkami gotuje się do nowego uścisku, do nowego podniecenia.

Tak płyną noce paryskie. Nie te noce na bruku, noce w halach, noce pod mostami i w wejściach do kolejki podziemnej — obce noce, noce nędzy. Tak płyną szalone noce tych, którzy szukają zapomnienia i mają za co je znaleźć. I tam je znajdują..

w. z.



Rys. J. M. Brzeski.



Rys. J. M. Brzeski.



Amerykańskie tancerki, sławne ze swej urody na cały świat są wielką atrakcją dla publiczności paryskiej..



U góry: Sherry Hass i Virginia Kent, to sławne tancerki, występujące w Tabarin.

NAJWYŻSZY KURS NA GIEŁDZIE ARTYSTYCZNEJ

II MISTRZOWIE techniki palcowej.



Pablo Casals, najsłynniejszy dziś wiolonczelista, spadkobierca sławy Ysaye'a.

Żyje dziś tylko trzech pianistów, którzy na giełdzie artystycznej osiągnęli najwyższe „notowania". Ale i wśród nich musimy uwzględnić pewną gradację, zrozumiałą dla tych wszystkich, którzy choćby raz w życiu zetknęli się bezpośrednio lub pośrednio (radjo, gramofon) z sztuką odtwórczą tych trzech prawdziwych potentatów gry fortepianowej.

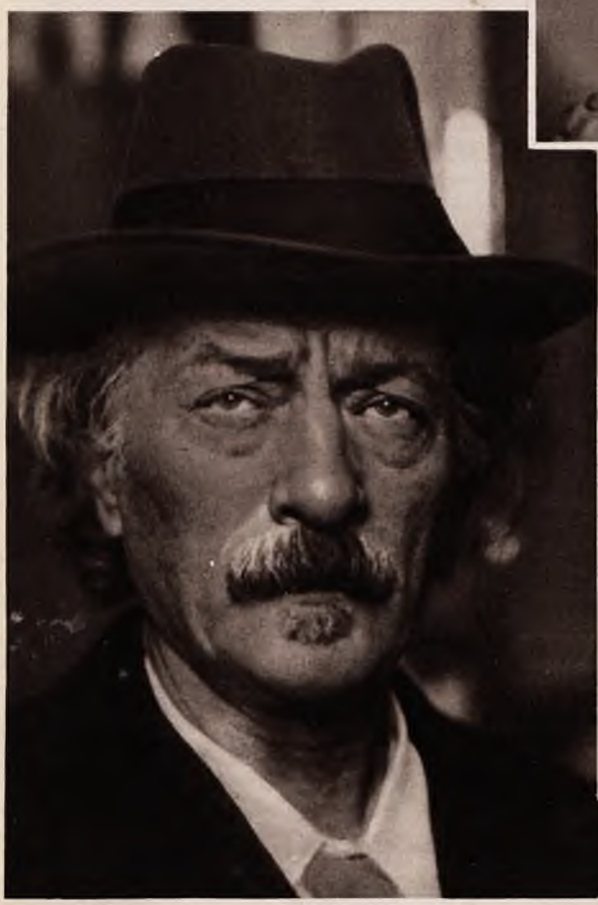
Pierwsze miejsce dzierży bezapelacyjnie nasz wielki rodak, Ignacy Jan Paderewski, którego po dziś dzień dzieli od swych następców dystans, trudny do wyrównania. Składa się na to wiele momentów. Najważniejszym jest ten, że świat uznał w Paderewskim prawdziwy genjusz muzyczny, który pojawia się raz na 100 lat i jest właściwie nieoceniony. Dlatego to mistrz nasz, jak prawdziwy udzielny monarcha mógł sobie pozwolić — jeden jedyny wśród pianistów świata — na dyktowanie wedle uznania warunków swych estradowych występów, które na obu półkulach zawsze ściągały do sal koncertowych niewidziane tłumy publiczności. Paderewski osiągnął też nienotowany nigdzie rekord pianistycznego honorarjum, zdobywając w San Francisco w r. 1927 zgórą 20 tysięcy dolarów za jeden występ.

Urodzony 6 listopada 1860 w Kuryłówce, studja odbywał u słynnego pedagoga Leszetyckiego w Wiedniu. W latach 1878—82 uczył już innych w warszawskiem Konserwatorjum muzycznem, a w pięć lat potem zadebjutował w Wiedniu (1887), osiągając znaczny sukces, który powtórzył w rok później w Paryżu. Ale dopiero pierwszy występ w U. S. A. w r. 1891 przyniósł Paderewskiemu sławę w znaczeniu światowem i stał się punktem wyjściowym jego bajecznej karjery artystycznej.

Na prawo: Głośny skrzypek Mischa Elman, który wyszedł ze słynnej szkoły Auera.

Poniżej: Największy pianista świata Ignacy Jan Paderewski.





Paderewski zajmuje też nieposlednie miejsce wśród kompozytorów, posiadając w swym dorobku artystycznym szereg utworów fortepianowych, symfonję, sonatę skrzypcową, pieśni i operę „Manru", której prapremjera odbyła się w Dreźnie w r. 1901. Mieszka w pięknej posiadłości w Morges, z której rokrocznie wyrusza salonką z sekretarzem i kucharzem, oraz dwoma wspaniałymi Steinwayami na tournée pianistyczne. Ostatnio jedna z angielskich wytwórni zaproponowała Paderewskiemu nakręcenie filmu z jego udziałem i ofiarowała mistrzowi zawrotne honorarjum w wysokości 800 tysięcy złotych. Takiego sukcesu finansowego nie osiągnął dotąd żaden z pianistów.

Drugiem zkolei wielkiem nazwiskiem wśród wspomnianej na wstępie trójki jest Sergjusz Rachmaninoff. Urodzony 2 kwietnia 1873 w Onedze (Rosja), studjował w Petersburgu i Moskwie, w tamtejszych Konserwatorjach, zwracając na siebie uwagę pedagogów, którzy w pierwszych latach nauki wróżyli mu wielką przyszłość. Już jako dwudziestosześcioletni młodzieniec dyryguje orkiestrą filharmoniczną w Londynie, a w r. 1904 widzimy go przy pulcie kapelmistrzowskim opery moskiewskiej. Przez cały ten czas nie zaniedbuje gry na fortepianie i dochodzi w niej do mistrzowskiej perfekcji. Toteż gdy w r. 1909 wstępuje po raz pierwszy na estradę koncertową w U. S. A., publiczność amerykańska szaleje wprost z zachwytu, a krytycy jednogłośnie przyznają mu miejsce obok Paderewskiego.

Na równi z olśniewającą sztuką interpretacyjną Rachmaninoffa postawimy jego wielki talent i płodność kompozytorską. Pięć koncertów fortepianowych, liczne preludja i etudy, parafrazy fortepianowe, słynne pieśni i utwory symfoniczne — oto droga, po której kroczy triumfalnie Rachma-



Na prawo: Słynny kompozytor rosyjski i niemniej znakomity pianista Sergjusz Rachmaninoff.

ninoff-twórca. Dziś, gdy sława przynosi mu zawrotne honorarja, ciekawem będzie poznać charakterystyczny epizod z młodzieńczych lat kompozytora. Oto Rachmaninoff jako młody chłopiec napisał swe słynne preludjum Cis-moll i zmuszony kiepskiemi warunkami życiowemi sprzedał je pewnemu rosyjskiemu nakładcy za 100 rubli bez prawa pobierania tantjem. Piętnaście lat potem, gdy bawił w Ameryce już jako słynny pianista, odegrał ten sam prelud dla firmy gramofonowej „His Masters Voice", która za prawo wypuszczenia płyt wypłaciła pianiście 30.000 dolarów.

Rachmaninoff jest zasadniczym wrogiem radja, twierdząc, że zniekształca ono dźwięk fortepianu. Toteż każdy występ jego przed mikrofonem należy do niezwykłych ewenementów i przynosi artyście odpowiednio wysokie honorarjum. Z powodu złego stanu zdrowia Rachmaninoff pojawia się coraz rzadziej na estradach, przebywając najchętniej w Szwajcarji, gdzie mieszka w własnej posiadłości.

Józef Hofmann, rodowity Krakowianin, rozpoczął w porównaniu z Paderewskim i Rachmaninoffem najwcześniej swą karjerę pianistyczną. Już jako 7-mioletnie „cudowne dziecko" koncertuje w Europie i Ameryce, dając chlubne świadectwo nietylko swemu wyjątkowemu talentowi, ale i pedagogicznym umiejętnościom ojca, Kazimierza Hofmanna, profesora Konserwatorjum w Krakowie, a potem w Warszawie, u którego odbywał początkowe studja. W trakcie jednego z amerykańskich tournée zwraca na siebie uwagę pewnego finansisty, który odtąd opiekuje się młodziutkim wirtuozem, zakazując mu narazie dalszych występów aż do uzyskania pełnego szlifu pianistycznego. W ten sposób znalazł się Hofmann w szeregu uczniów Antoniego Rubinsteina i dopiero po ukończeniu gruntownych studjów u słynnego muzyka rozpoczął już jako dojrzały pianista na nowo triumfalny objazd sal koncertowych całego świata. Stany Zjednoczone stały się wkrótce domeną Hofmanna, gdzie najwcześniej talent jego zaczęto nabywać na wagę szczerego złota.



Józef Hofmann, słusznie zaliczany do trójki najlepszych pianistów świata.

Poniżej: Jascha Heifetz — „najszybszy koń stajni auerowskiej". (Zdjęcie z Filharmonji berlińskiej).

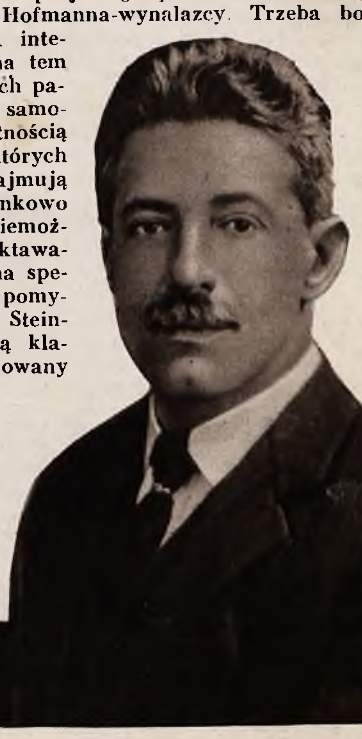


Tam też osiadł on na stałe, obejmując kierownictwo słynnego Instytutu Curtisa w Filadelfji, gdzie też wybudował sobie wspaniałą rezydencję, słynną z pokoju kąpielowego, wykładanego czarnym marmurem i srebrem, oraz specjalnego pawilonu, mieszczącego techniczne laboratorjum Hofmanna-wynalazcy. Trzeba bowiem to zaznaczyć, że artysta interesuje się również techniką i na tem polu zdobył już kilka doskonałych patentów (ulepszenia w motorach samochodowych). Trzecią namiętnością Hofmanna są sporty, wśród których tenis i jazda motorówką zajmują pierwsze miejsce. Mała stosunkowo dłoń artysty i wskutek tego niemożność wygodnego operowania oktawami zmusiła Hofmanna do gry na specjalnie dla niego i wedle jego pomysłu budowanych fortepianach Steinwaya, które posiadają mniejszą klawiaturę i do jego rąk dostosowany wymiar oktaw.

* * *

Odpowiednikiem wymienionych trzech sław pianistycznych w świecie wirtuozów skrzypcowych jest również trio, złożone z głośnych nazwisk, z Fritzem Kreislerem na czele.

(Dokończenie na str. 24).



Na prawo: Fritz Kreisler, król skrzypków i doskonały kompozytor.

WSKAZANIA BR. HAUSSMANNA REALIZUJĄ SIĘ...



Model przebudowy placu warszawskiego i Trocadera w Paryżu.

Trocadero było nazwą fortu hiszpańskiego w zatoce Kadyx, zdobytego przez wojska francuskie w 1823 roku. Karol X w pięć lat później postanowił uczcić ten czyn historyczny: wybudować wielkie koszary, noszące imię fortu. Wybrał na ten cel jedno z najwspanialszych miejsc Paryża: pagórek Chaillot. Roztaczał się stąd wspaniały widok na Paryż. Był to jeden z najbajeczniejszych widoków, a wzrok sięgał daleko poza dymy wielkiego miasta, tonąc w zieleni okolicznych parków i lasków, w kierunku zachodnio-południowym. Już Napoleon zamierzał postawić w tem miejscu pałac króla Rzymu, otoczony gmachami szkół wyższych. Nie danem było Napoleonowi dokonać dzieła: historja zadecydowała inaczej.

Przyszedł następnie baron Haussmann, genjalny urbanista, twórca perspektyw dzisiejszego Paryża. Zrozumiał on, że nie należy budować tu koszar, lecz amfiteatr, schodzący stopniami ku Sekwanie, wielki teatr ludowy, nie zastawiający widnokręgu, lecz odsłaniający go. Nauczyć ludzi lubować się masą światła i zieleni, dać radość przestrzeni „niewolnikom miejskich murów".

Nadszedł rok 1878, rok Wystawy Powszechnej. Potrzebą chwili było wybudowanie wielkiego pałacu wystawowego, któryby zachwycił cudzoziemców! Budowa miała być prowizoryczną! Asygnowana suma 6.700.000 franków nie miała wystarczyć na budowę trwałą. Zresztą miasto, jeszcze wierne planom Haussmanna, nie zamierzało rozstać się na zawsze z najpiękniejszą perspektywą Paryża. Lecz rząd pragnął zachować przynajmniej środkową część przyszłego gmachu: wielką salę teatralno-odczytową, mogącą pomieścić 3.000 osób i będącą jedną z największych aż do naszych dni. Rozpoczęły się pertraktacje. — Tymczasem architekci Gabriel Davioud i Jules Bourdais zabrali się do stawiania fundamentów. Czas naglił! Praca nie zapowiadała się łatwo. W podziemiach napotkano na wydrążenia. Wreszcie na rok przed datą wystawy zapadło orzeczenie: władze Paryża nie będą domagały się zburzenia gmachu, zaś w ciągu sześciu miesięcy do zamknięciu wystawy albo wykupią pałac za sumę 3,000.000 franków albo odstąpią państwu tereny. W wyniku tej umowy podniesiono pierwotny kredyt budowy na 9,500.000 fr.

Los amfiteatru nadsekwańskiego był przesądzony. Architekci Davioud i Bourdais byli bardziej, niż ktokolwiek inny zasmuceni obrotem sprawy... Ich brzuchaty, pojemny pawilon wystawowy i tylko wystawowy, miał pozostać jako dziwny nowotwór pięknego Paryża!

Zachowano nazwę „Trocadero" związaną już z miejscem dzięki uroczystości Karola Xgo, o czem pisaliśmy powyżej. Przeznaczenie uratowało Paryż od koszar „Trocadero"... Napoleonowi przeszkodziło do wybudowania pałacu króla Rzymu ze szkołami... Nie pozwoliło baronowi Haussmannowi na zrealizowanie jego projektu, pełnego poezji...

Nadeszła wreszcie Wystawa 1878 roku. Według gazet epoki zachwyt dla noworodka, osiadłego na pagórku Chaillot — nie miał granic... Nazywano „Trocadero" nowoczesnym Panteonem"... Chwalono „kolosalność" tego zespołu budynków, jego kolumnady, światło, powietrze... Uważano, że dopiero teraz architektura francuska znalazła właściwą drogę, że przyjdzie przebudować Operę w tym duchu...

Dwóch ludzi pozostało niepocieszonych: to architekci, zdający sobie sprawę z artystycznego efektu swego dzieła.

Minęła wystawa. Pakowność nowego gmachu uspokoiła malkontentów. Umieszczono tu zbiór odlewów gipsowych, muzeum etnograficzne, różne kolekcje, wystawy, ostatnio „filmotekę" miejską; sala służyła do przedstawień ludowych, wielkich odczytów i t. d. Powoli ogół przyzwyczaił się do tej sylwetki paryskiej. Starzejąc się, wzrosła ona w panoramę Paryża.

Ogół przyzwyczaił się tak bardzo do tej budowli, że liczne i kompetentne głosy protestów wzniosły się w roku 1933-34, na myśl zburzenia części „Trocadero" w związku z rozplanowaniem Wystawy Paryskiej 1937 roku. Wysuwano projekt, zpoczątku nieśmiało; polecano architektom, biorącym udział w konkursie, „prowizoryczną przeróbkę „Trocadera" na czas wystawy...".

Żyjemy jednak w epoce wielkich realizacyj. Zwolennicy nowoczesnych prądów w urbanistyce podjęli atak... I choć główny pawilon... „prowizoryczny" wystawy zdobył prawo obywatelstwa i przeżył lat 58, to jednak postanowiono na starość poddać go radykalnej operacji i wyleczyć z „anty-urbanistycznego" narośla!

I tak zamiast zasłaniać prowizorycznie stare mury, zostaje usuniętą część środkowa budowli, ów brzuch, psujący harmonję perspektywy. Zniknie w ten sposób owa wielka sala muzealno-teatralna! To jeszcze nie wszystko! Technicy wyczyszczą podziemia i wybudują salę jeszcze większą, bo mieszczącą 4.000 osób i w warunkach nowocześniejszych! Skrzydła boczne pozostaną: ale poddane zostaną „kuracji odmładzającej" — utyją, jednocześnie poszerzone galerją szerokości 10 metrów. Rozmach! Zapomniany projekt bar. Haussmanna wraca na stół. Będzie on zrealizowany w całości! Bo zanurzenie sali teatralnej pod ziemię, pozwoli właśnie i na odzyskanie owej perspektywy i na zejście amfiteatru zieleni aż ku Sekwanie. Wszystko kosztem 50 miljonów!...

Dziś w r. 1936, a więc w niespełna rok od daty wyznaczonej na odrodzenie „Trocadera" — pracują dzień i noc wielkie maszyny, rozbijające dawne mury... Ale czy zdążą?

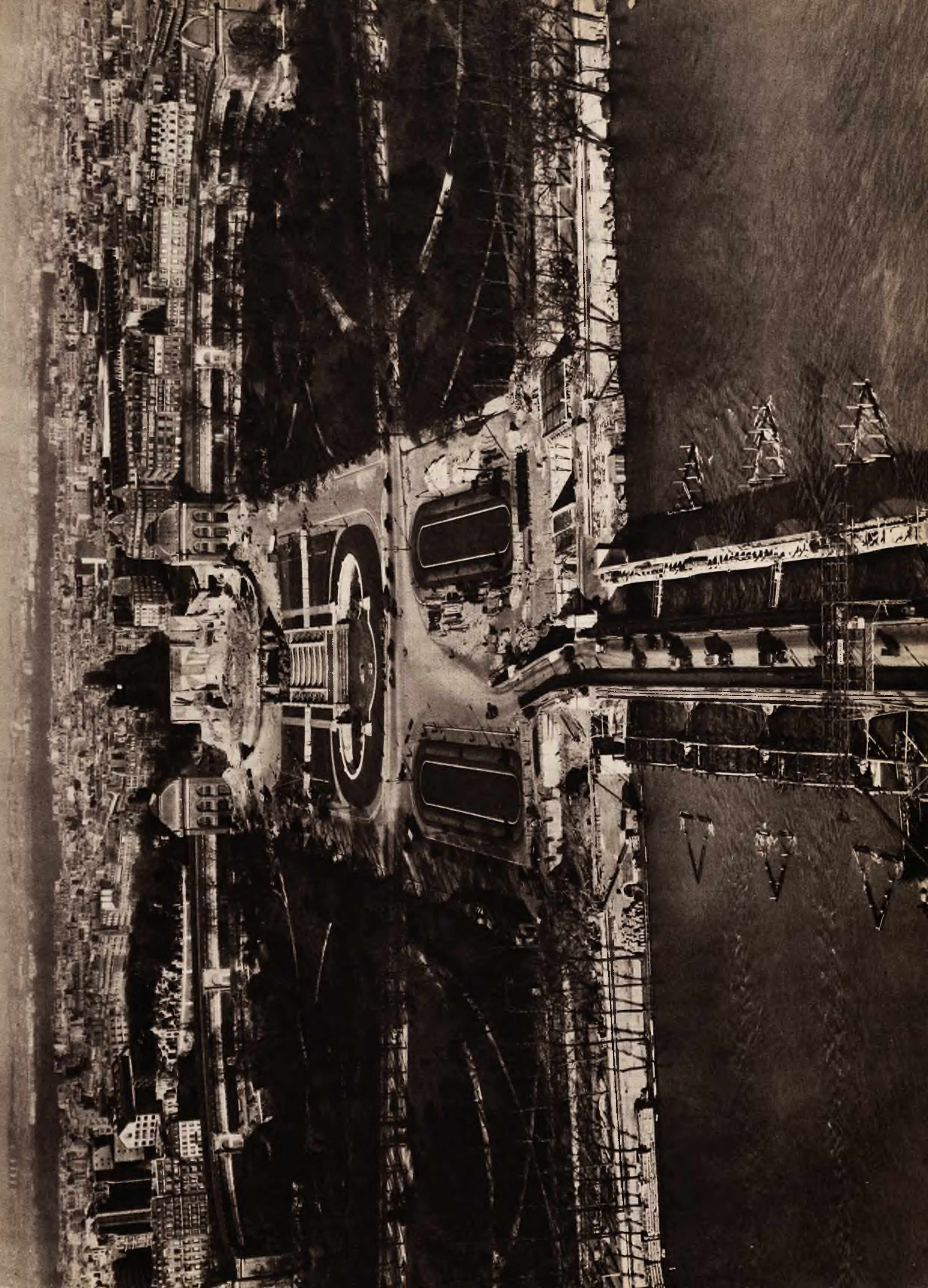


Centralny budynek Trocadera przed zburzeniem.

Z. Frenkiel (Paryż).

W STOLICY ŚWIATA...

Ogólny widok od strony Sekwany na stan robót, związanych z przebudową placu warszawskiego i „Trocadera" w Paryżu.

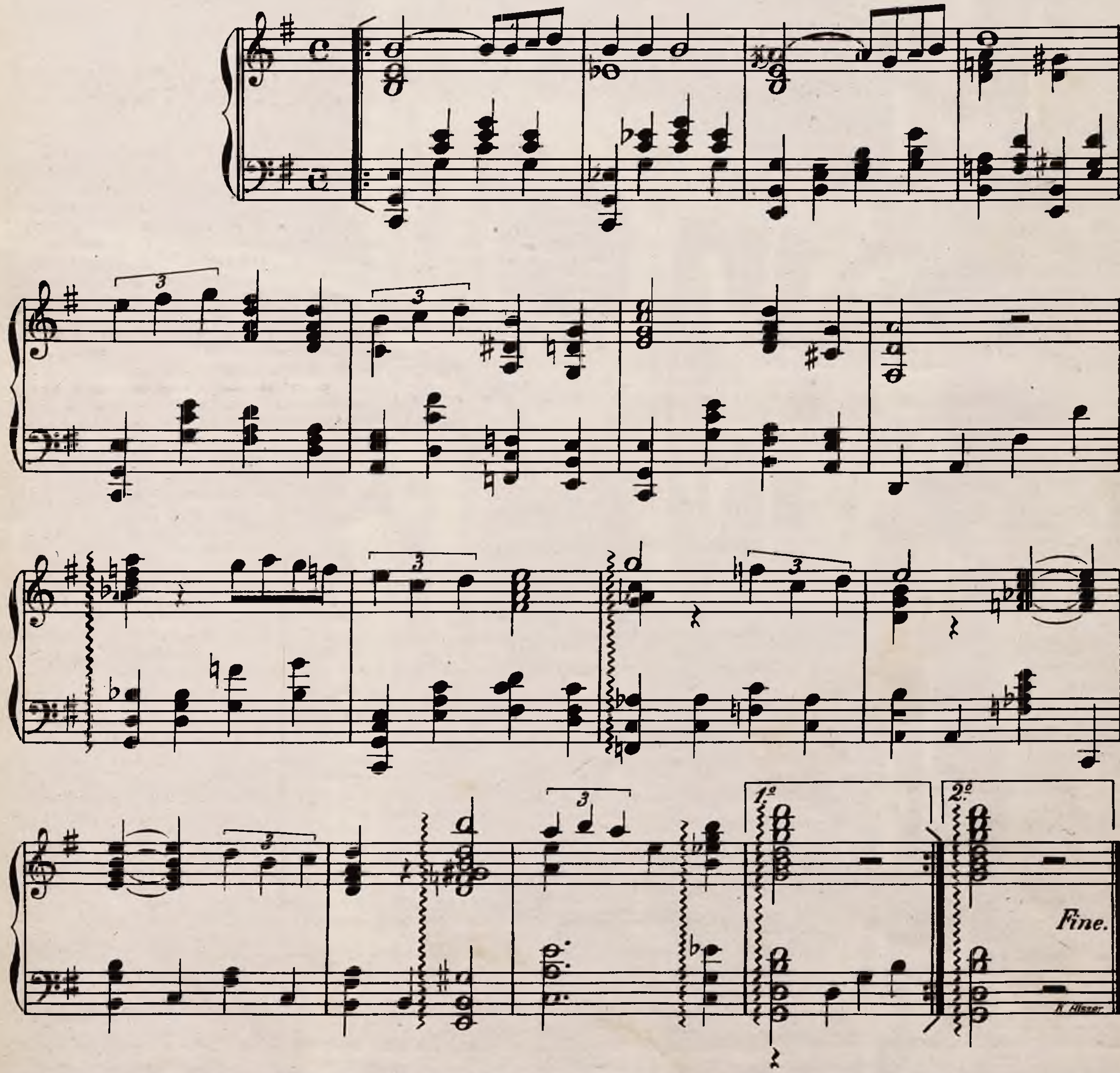


INTERMEZZO

Z BALETU ORJENTALNEGO

JULJUSZ LEO. 1936.

Andante.





Opowieść z epoki kamiennej

9-ty ODCINEK.

H. G. WELLS | **PRZEKŁAD W. de RICHE** | **ILUSTR. CHARLIE**

ROZDZIAŁ V.

Walka w gęstwinie.

Ugh-lomi leżał cicho, oparty plecami o olchę, a łydka jego była jedną, straszliwie wyglądającą czerwoną masą. Żaden cbłowiek cywilizowany nie przeżyłby takiej rany, ale Eudena przyniosla mu cierni na ich opatrzenie i czuwała przy nim w dzień i w nocy, odganiając od niego muchy wachlarzem z trzcin we dnie, a w nocy grożąc hienom pierwszą siekierą tak, że w krótkim czasie zaczął przychodzić do siebie. Było to późne lato; nie było deszczu. W ciągu pierwszych dwóch dni, kiedy rany jego były otwarte, jedli bardzo mało. W dole, w którym się ukryli, nie było korzeni, ani drobnych zwierząt, a rzeka, wraz z jej ślimakami i rybami, znajdowała się na równinie, w odległości conajmniej stu kroków. Eudena nie mogła się oddalać we dnie z obawy przed swymi braćmi i siotrami, ani w nocy z obawy przed zwierzętami i to tak ze względu na niego jak i na siebie. Podzielili się więc ciałem lwa ze sępami. Ale w pobliżu było małe źródełko, z którego Eudena przynosiła mu wodę własnemi rękoma.

Miejsce, gdzie Ugh-lomi leżał, było zakryte w gęstym gaju olchowym i otoczone dokoła wysokiemi trzcinami. Cielsko lwa, którego zabił, leżało w pobliżu jego dawnego legowiska, między podeptanemi trzcinami, w odległości pięćdziesięciu kroków, tak dobrze widoczne z ich kryjówki, że widzieli, jak sępy walczą ze sobą o najlepsze cząstki i nie pozwalają zbliżyć się do niego szakalom. Wkrótce zgromadziła się nad niem chmara much, które, wyglądały jak pszczoły i Ughlomi mógł słyszeć ich brzęczenie. A kiedy rany jego zaczęły się goić, co trwało zaledwie kilka dni, z lwa pozostało tylko kilka białych, porozrzucanych kości.

Ugh-lomi siedział jeszcze przez większą część dnia, spoglądając przed siebie bezmyślnie; czasami mruczał coś o koniach, niedźwiedziach i lwach, a czasami chwytał za pierwszą siekierę i wygrażał członkom plemienia, wymieniając ich po nazwiskach, jakby się nie lękał, że ich sprowadzi. Przeważnie jednak spał i nie trapiły go żadne złe sny, gdyż stracił krwi bardzo dużo, a jadł bardzo mało. W ciągu krótkich letnich nocy oboje czuwali. Jak długo było ciemno poruszały się wokół nich jakieś istoty, których nigdy za dnia nie widzieli. Przez kilka nocy hieny trzymały się z daleka, a potem, w czasie jakiejś bezksiężycowej nocy, zjawił się cały ich tuzin i zaczął walczyć o to, co z lwa pozostało. Przez całą noc słychać było warczenie, ujadanie i trzask kości w ich zębach. Ugh-lomi i Eudena wiedzieli jednak, że hiena nie śmie atakować żadnej istoty żywej i nie śpiącej, dlatego też nie bardzo się lękali.

W dzień Eudena miała zwyczaj wymykać się wąską ścieżką, zrobioną w trzcinach przez starego lwa, aż po za rzeczne kolano, kryć się w gęstwinie i przyglądać się obozowisku. Leżała pod olchą, do której przywiązano ją na ofiarę lwu i stąd mogła widzieć na wzgórzu, przy ognisku, drobne postacie ludzi, jak je widziała owej pamiętnej nocy. Nie opowiadała jednak Ugh-lomiemu, o tem, co widziała, aby nie sprowadzić ich przez wymienianie nazwisk. Albowiem w owym czasie wierzono, że wymienianie kogoś po nazwisku przywołuje go.

Widziała, rano, po zabiciu lwa przez Ugh-lomiego, jak mężczyźni przygotowywali włócznie i kamienie do rzucania i jak wybierali się na polowanie na niego, zostawiając kobiety i dzieci na wzgórzu. Nie domyślali się, kiedy tak szli w stronę wydm jeden za drugim, prowadzeni przez Sissa Tropiciela, że śledziła wszelkie ich poruszenia. A kiedy mężczyźni zniknęli, przyglądała się kobietom i dzieciom, zbierającym chrust na ognisko i bawiącym się z sobą chłopcom i dziewczętom. Ale stara kobieta budziła w niej lęk. W południe, kiedy większa część pozostałych w obozie znajdowała się nad rzeką, starucha wyszła na wzgórze i zaczęła gestykulować. Eudena, przekonana, że ją ujrzała, leżała cicho, jak zając, wpatrując się płonącemi oczyma w zgarbioną czarownicę i dopiero po pewnym czasie zrozumiała, że stara kobieta oddawała cześć lwu, zabitemu przez Ugh-lomiego.

Następnego dnia wrócili myśliwi, niosąc jelonka i Eudena przyglądała się uczcie z zazdrością. W pewnej chwili stało się co dziwnego. Ujrzała i usłyszała, że stara czarownica wydała okrzyk, gestykulując i wskazując w jej stronę. Przelękła się i ukryła się, jak wąż w zaroślach. Ale po pewnym czasie zdjęła ją znów ciekawość i wróciła na dawne miejsce. Serce przestało jej bić w piersiach, gdyż wszyscy mężczyźni zstępowali ze wzgórza, z bronią w ręku, idąc w jej stronę.

Bała się poruszyć, aby ją nie ujrzano i przytuliła się do ziemi. Złote światło słoneczne padało wprost na twarz mężczyzn. Ujrzała, że nieśli duży kawał czerwonego mięsa, zatknięty na kiju. W pewnej chwili zatrzymali się. — Naprzód! — wrzasnęła starucha. Kocia Skóra mruknął coś pod nosem i posunęli się naprzód, wpatrując się w gęstwinę oślepionemi oczyma. — To tutaj! — rzekł Siss. Zdjęli mięso z kija i rzucili go na ziemię. — Uya! — zawołał Siss. — Oto twoja część! A Ugh-lomiego zabiliśmy. Naprawdę zabiliśmy Ughlomiego! Dziś zabiliśmy Ugh-lomiego, a jutro przyniesiemy ci jego ciało. Inni powtórzyli te słowa.

Spojrzeli na siebie i poza siebie, a potem zawrócili zpowrotem. Z początku szli, nawpół zwróceni w stronę gęstwiny, potem zaczęli iść szybciej, spoglądając za siebie, potem jeszcze szybciej; wkońcu zaczęli biec, dopóki nie znaleźli się znowu w pobliżu pagórka. Wtedy Siss pierwszy zwolnił kroku.

Słońce zaszło, nastał zmierzch, czerwone ogniska zabłysły na ciemno błękitnym tle dalekich drzew orzechowych, a w obozie zapanowała radość. Eudena leżała wciąż, nie śmiejąc się poruszać i spoglądała to na mięso, to na obóz. Była głodna, ale

lękała się. Wkońcu przyczołgała się do Ugh-lomiego.

Oglądnął się, słysząc, że się zbliża. Twarz jego tonęła w cieniu. — Czy przyniosłaś mi coś do jedzenia? — rzekł.

Powiedziała, że nic nie mogła znaleźć, ale że jeszcze poszuka i wróciła ścieżką lwa do miejsca, skąd widać było obozowisko. Jednakże nie miała odwagi wziąć mięso. Instynktownie lękała się zasadzki. Czuła się bardzo źle.

Przyczołgała się znowu do Ughlomiego i usłyszała, jak jęczy. Wróciła zpowrotem: potem ujrzała coś zrozumiał; a kiedy zrozumiał, wpadł w dobry humor. — Jam jest Uya! — rzekł. — Ja jestem lwem. Ja jestem wielkim niedźwiedziem jaskiniowym, ja, który byłem tylko Ugh-lomim. Ja jestem Chytry Wau. Dobrze, że mnie żywią, gdyż teraz zabiję ich wszystkich.

Eudena roześmiała się i zjadła z radością w sercu to, co zostało ze złożonego w ofierze mięsa. Potem Ugh-lomi miał sen i następnego dnia polecił Eudenie, aby przyniosła mu zęby i pazury lwa — tyle, ile pozostało — i zrobiła mu maczugę z drzewa olchowego. Zęby i pazury osadził w ciemnościach i poznała szakala. W jednej chwili ogarnął ją gniew. Zerwała się z krzykiem i pobiegła w stronę złożonego w ofierze mięsa. Potknęła się i upadła... szakal uciekł...

Kiedy powstała, mięsa już nie było. Wróciła zatem, aby czuwać przy Ugh-lomim. Ugh-lomi gniewał się, że nie przyniosła mu nic do jedzenia, a ona nie powiedziała mu nic o tem, co widziała.

Przeszły dwa dni i oboje byli bliskimi śmierci głodowej, kiedy plemię zabiło konia. Powtórzyła się ta sama ceremonja... pozostawiono na kiju duży kawał mięsa. Tym razem Eudena nie wahała się.

Słowami i gestami wytłomaczyła Ugh-lomiemu, co się stało, ale on zjadł większą część mięsa, zanim w drzewie i to tak zręcznie, że końce ich sterczały na zewnątrz. Zabrało mu to wiele czasu i zniszczył nawet dwa zęby, wbijając je do drzewa, co go pobudziło do gniewu i do porzucenia roboty: ale później zawlókł się do miejsca, gdzie ją zostawił i skończył maczugę, która stanowiła nowy rodzaj broni, gdyż była nabita zębami. Dnia tego mieli oboje więcej mięsa, albowiem plemię złożyło w ofierze lwu większą część.

Pewnego dnia, w kilka dni po zrobieniu przez Ugh-lomiego maczugi, Eudena, skorzystawszy z tego, że usnął, leżała w gęstwinie, przyglądając się obozowisku. Od trzech dni nie mieli mięsa. Starucha wyszła i zaczęła na swój sposób gestykulować. Tymczasem mały przyjaciel Eudeny Si i synek jednej z kobiet pojawili się na wzgórzu, a ujrzawszy zgarbioną postać czarownicy, zaczęli się jej przedrzeźniać. Eudenie wydało się to bardzo zabawnem, ale nagle stara odwróciła się szybko i ujrzała ich. Przez chwilę stała i oni stali bez ruchu, a potem z okrzykiem wściekłości zaczęła biec w ich stronę i wszyscy troje zniknęli za wzgórzem.

Po chwili dzieci ukazały się znów wśród paproci na stoku pagórka. Mały Si biegł pierwszy, za nim biegło z płaczem drugie dziecko, a tuż za niem biegła starucha. Na wzgórzu ukazał się Siss z kością w ręku, a za nim Bo i Kocia Skóra, każdy trzymając w ręce kawał mięsa. Śmiali się głośno i krzyczeli, widząc starą tak rozgniewaną. Nagle starucha chwyciła dziecko i zaczęła je bić, a dziecko zaczęło wrzeszczeć, co wprawiło mężczyzn w dobry humor. Mały Si pobiegł nieco dalej i zatrzymał się wkońcu, walcząc z obawą i ciekawością.

Teraz bowiem zjawiła się matka dziecka, z rozpuszczonemi włosami, z kamieniem w ręku, dysząc ciężko i starucha zwróciła się ku niej, jak dziki kot. Uważała się za równą każdej kobiecie mimo swego wieku, gdyż była strażniczką ognia, ale zanim mogła coś uczynić, Siss zawołał na nią i wszczął się zamęt. Pojawiły się inne głosy. Zdaje się, że całe plemię brało udział w uczcie. Ale stara nie śmiała znęcać się nad dzieckiem, za którem Siss się ujął.

Wszyscy krzyczeli i nawoływali się. Nawet mały Si. Nagle starucha puściła dziecko, które schwytała i zwróciła się w stronę Si, ponieważ Si nie miał przyjaciół, a Si, widząc co mu grozi, pobiegł, wydając słaby okrzyk przestrachu i nie zdając sobie sprawy, gdzie biegnie, wprost do legowiska lwa. Dopiero po chwili spostrzegł, gdzie dąży i skręcił wbok.

Ale starucha nie była niedołężną kobietą i dlatego udało się jej schwytać Si za włosy w odległości trzydziestu kroków od Eudeny. Całe plemię zaczęło schodzić teraz ze wzgórza wśród krzyków i śmiechu, aby przypatrzeć się widowisku. Wtedy coś zbudziło się w Eudenie, coś zupełnie jej nieznanego... Zapomniawszy o lęku, wyskoczyła z ukrycia i pobiegła naprzód. Starucha nie widziała jej, gdyż biła małego Si po twarzy, co sił starczyło i nagle coś twardego i ciężkiego uderzyło ją w głowę. (Dokończenie nastąpi).

Dokończenie ze str. 19-ej.

Urodzony 2 lutego 1875 w Wiedniu, wstąpił on do tamtejszego Konserwatorjum już w siódmym roku życia. Szlifu nadały mu dopiero studja pod okiem takich znakomitości, jak Auber i Hellmesberger, a występ w ramach popisu ich klas przyniósł artyście złoty medal Konserwatorjum. W roku 1889 wyjeżdża na pierwsze większe tournée po Stanach Zjednoczonych, przyjmowany wszędzie życzliwie, ale jeszcze nie owacyjnie. Zrażony może zbyt powolnym wzrostem swej sławy, porzuca wówczas ku oburzeniu rodziny i swych profesorów karjerę artystyczną i rozpoczyna całkiem poważne studja medyczne na uniwersytecie wiedeńskim. Nieukończywszy ich, przerzuca się na wydział historji sztuki w Paryżu i w Rzymie i w tej dziedzinie osiąga znaczne wykształcenie.

Po dziesięcioletniej przerwie wraca jednak do swego ulubionego zawodu i występem w berlińskiej filharmonji (1899) rozpoczyna karjerę najsłynniejszego naszych czasów wirtuoza. Koncertuje ze wzrastającem powodzeniem na całym świecie aż do wybuchu wielkiej wojny. Na rozkaz swego cesarza przybywa do rodzinnego miasta i tam jako oficer ułanów wstępuje do armji austrjackiej, w której szeregach walczy i odnosi ranę. — Przebywając na rekonwalescencji, pisze swój pamiętnik z frontu i wydaje go pod tytułem: „Cztery miesiące w rowach strzeleckich". Wszystko to zjednuje Kreislerowi olbrzymią popularność i z chwilą powrotu na estradę powoduje niezwykły wzrost jego dochodów. Powiększają je jeszcze tantjemy kompozytorskie za liczne transkrypcje skrzypcowe i oryginalne utwory, grane chętnie przez plejadę artystów.

Głośną była dwa lata temu sprawa lansowanych przez Kreislera utworów nieznanych kompozytorów, którzy — jak się okazało — istnieli tylko w jego fantazji. Wszystkie te kompozycje były bowiem dziełem samego Kreislera. Dziś jeszcze, mimo utraty dawnej oszałamiającej techniki, posiada on ton, jakiego nikt inny poza nim nie wydobędzie ze skrzypiec. I za to samo płacą mu nadal duże honorarja, które w Nowym Jorku osiągają sumę 5 tysięcy dolarów za jeden koncert.

Jascha Heifetz, urodzony 2 lutego w Wilnie, jest uczniem słynnej szkoły Auera. Swą błyskotliwą karjerę zaczyna koncertem w berlińskiej filharmonji, na którym jako 11-letni chłopiec wykonał pod dyrekcją Nikischa koncert Czajkowskiego, grając jeszcze na skrzypcach 3/4 (dziecinnych). Szybko zdobywa światowe powodzenie, które datuje się od jego debjutu w U. S. A. w r. 1917. Niespotykana od czasów Paganiniego fenomenalna jego technika zjednuje mu wobec zmierzchu sławy Kreislera miano króla skrzypków i co zatem idzie wielkie dochody. Odznaczony przez rząd francuski Legją Honorową, wyjeżdża do Palestyny, gdzie buduje własnym kosztem wspaniałą salę koncertową. Ożenił się z wiazdą filmową Florence Vidor. Jego starszy kolega ze szkoły auerowskiej Mischa Elman cieszy się w świecie niewiele mniejszą sławą, choć operuje mniej błyskotliwą grą, opartą raczej na głębi tonu i liryzmie. Urodzony 20 stycznia 1891 w Stalnoje (Rosja), staje się prędko faworytem Auera, który wysyła go już jako 13-letniego chłopca na koncerty po Europie. Debjut w U. S. A. w r. 1908 ugruntowuje jego karjerę, która rozwija się potem niezwykle pomyślnie i to zarówno pod względem artystycznym, jak i finansowym.

* * *

Pablo Casals zajmuje w gronie słynnych wiolonczelistów miejsce, analogiczne do tego, jakie przypadło w udziale Paderewskiemu wśród pianistów. Urodził się 30 grudnia 1876 w Vendrell pod Barceloną, jako syn tamtejszego organisty i kierownika chóru kościelnego. Już jako 16-letni uczeń Konserwatorjum w Barcelonie zdobywa odznaczenie królowej hiszpańskiej, które staje się bodźcem do dalszej pracy nad udoskonaleniem gry na umiłowanym instrumencie. Toteż nic dziwnego, że gdy jako młody jeszcze chłopiec wyrusza „na podbój Ameryki", mieszkańcy Vendrell żegnają go owacyjnie i przepowiadają swemu pupilowi wielką karjerę. Wkrótce osiąga Casals sławę światową i godnie reprezentuje swą ojczyznę wszędzie tam, gdzie dźwięczą struny jego wiolonczeli Mimo zawrotnych honorarjów i wysprzedanych sal koncertowych na solowych jego występach, grywa chętnie jako prawdziwy muzyk w triu, zorganizowanem przez siebie, z udziałem Alfreda Cortot i Jacquesa Thibaud. Powołany do kraju dyryguje orkiestrą filharmoniczną w Barcelonie i cieszy się zasłużoną sympatją całego społeczeństwa hiszpańskiego. Na słonecznej plaży w San Salvador pod Barceloną posiada piękną posiadłość, w której chętnie odpoczywa po trudach sezonu koncertowego.

Na Casalsie kończy się rewja mistrzów techniki palcowej, którzy na giełdzie artystycznej świata osiągnęli „najwyższy kurs".

Juljusz Leo.



René Raymond, amant filmowy z Radio Pictures, portretuje się w pracowni Stanisława Pociechy w Hollywood.



Wnętrze pracowni polskiego artysty w Hollywood.

POLSKI PORTRECISTA W HOLLYWOOD

Portret małżonki artysty-malarza Stanisława Pociechy.



Hollywood, to zbiorowisko najróżnorodniejszych talentów oraz indywidualności. Nic dziwnego, iż znalazł się w tem piekiełku pożądań i ambicyj również i polski artysta-malarz, Stanisław Pociecha, syn znakomitego ilustratora Krakowa, Michała Pociechy.

Znaliśmy dotychczas sukcesy Tadeusza Styki, czy też Wojciecha Kossaka na terenie amerykańskim, natomiast dla wielu rodaków zupełnie nieznanym jest fakt, iż krakowski artysta Stanisław Pociecha zdobył sobie wytężającą twórczą pracą sławę i uznanie w dalekiej Kalifornji. Po ukończeniu studjów w krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych p. Stanisław Pociecha wyjechał do Nowego Jorku, gdzie portretował m. i. znakomitą śpiewaczkę opery Metropolitainehause, Gladys Swarthout. Dzieło to reprodukowane było przez ajencję „International News Syndicate", w prasie całego świata.

Przed 10 laty przeniósł się St. Pociecha do Hollywood, gdzie stał się ulubionym malarzem gwiazd i gwiazdorów amerykańskich wytwórni.

Podajemy zdjęcie z pracowni artysty, przedstawiające znanego amanta z wytwórni „Radio-Pictures" René Raymonda w pracowni artysty.

Ciekawym jest również portret żony artysty, utrzymany w starym stylu włoskim. Artysta wzorem naszego Vlastimila Hofmana zużył tło obrazu dla alegorycznego przedstawienia historji życia obojga małżonków. Na tle obrazu widzimy rodzinny dwór majątku matki żony, z Krzyżanowskich, pozatem ukochany Kraków, miejsce urodzenia malarza, fragmenty z Rosji i Azji, z okresu wędrówki artysty, oraz kalifornijski dom artysty, który zabrała mu przed dwoma laty wielka powódź.

Piękny wisior, zdobiący biust małżonki artysty, jest drogocennym okazem biżuterji indyjskiej z XVI wieku.

Poważne zamiłowania artystyczne oraz pasję do gromadzenia zbiorów poznajemy w urządzeniu wnętrza pracowni malarza. Znajduje się tam duża flamandzka szafa, pochodząca z XVIII wieku, kryjąca kolekcję drogocennej porcelany chińskiej i japońskich figurynek z „jadu" i malachitu. Kaukaskie kilimy, oraz stara zbroja pochodzi z podróży artysty po Indjach.

Mimo panującego i w Ameryce kryzysu sława „polish artist" Pociechy w Hollywood rośnie a rasowy krakowski artysta zdobył sobie artystycznym twórczym wysiłkiem zasłużone uznanie i prace wśród obcych.

m. d. d.

ROZWIĄZANIE

KONKURSU WIELKANOCNEGO „ASA"

Podjęta przez Redakcję „Asa" inicjatywa odnowienia tradycyjnego „święconego", wydała plon skromny wprawdzie, ale o tyle pocieszający, że wydobyte zostały z ukrycia te domy, które nie zaniedbują zwyczajów staropolskich, lecz kontynuują je w miarę możności, a nawet propagują je w kołach znajomych i w okolicy.

Widzimy to np. z listu p. A. W. Ł. z Wielkopolski. Pisze nam mianowicie: „Inicjatywa „Asa" jest bardzo chwalebna, gdyż może nigdzie ten piękny zwyczaj nie był tak zapomniany jak w Wielkopolsce, a szczególnie w naszem miasteczku. Urządzenie „święconego" w domach nie było praktykowane i ja pierwszy przed ośmiu laty, po przybyciu z Warszawy, urządziłem „święcone", co tak się przyjęło, że ostatnie święta wykazały duży wzrost powrotu do tradycji".

Od Czytelniczki z Gostynia, p. Julji Wolfarth otrzymujemy również interesujące wywody na temat tradycji „święconego". Na jej stole, zamieszczonym w Nr. 18 „Asa", widzimy oryginalne pierniki toruńskie (figurki oparte o lichtarze). Także i dziatwa otrzymuje w tym domu osobne stoliczki ze „święconem". Ustawiono je do fotografji na stole. Słusznie zauważa p. J. W., że wszelkie tradycje, kontynuowane z pokolenia na pokolenie, stanowią pomoc w utrwalaniu indywidualności narodowej.

Brak miejsca nie pozwala nam na zacytowanie wszystkich listów, jakie nadesłali nam uczestnicy konkursu. Ograniczając się do głosów z Wielkopolski, chcielibyśmy zaznaczyć, że jednak najwięcej zdjęć nadeszło właśnie z Wielkopolski. Jesteśmy przekonani, że kiedy za rok ogłosimy podobny konkurs, staną do niego znacznie liczniej polskie panie, bo w ich przecież dłoniach spoczywa ster spraw domowych. Przy pewnym wysiłku i stół ze święconem da się w każdym domu przygotować i fotografje z niego będzie można w domu czy przy pomocy znajomych wykonać. Już jednak należy zaznaczyć, że zdjęcia stołu wielkanocnego wykonywane być powinny nieco z góry, aby fotografja przedstawiała przedewszystkiem zastawiony blat stołu bez zbytecznych tutaj przedmiotów, stojących obok. Przy nadesłanych na nasz konkurs zdjęciach ten niezmiernie ważny moment ujęcia fotograficznych stołów przeważnie nie był przestrzegany, skutkiem czego nie widzimy na nich plastycznie rozmieszczonych przedmiotów zastawy. Przykład jaki mamy z naszego konkursu będzie najlepszą wskazówką, jak przystępować do fotografowania stołów wielkanocnych w przyszłym roku.

Jako nagrody w konkursie ofiarowały firmy — ogłoszone już i reprodukowane w 18 Nrze „Asa" następujące przedmioty:

1) serwis do kawy (nagroda Fabryki porcelany „Ćmielów").

2) gazowe żelazko do prasowania (nagroda Gazowni Miejskiej w Krakowie).

3) torebka damska (nagroda firmy Anastazy Froncz, Kraków).

4) bombonierа z cukrami (nagroda fabryki czekolady A. Piasecki w Krakowie).

5) komplet kosmetyków (nagroda fabryki „Miraculum" w Krakowie).

Jury konkursu, złożone z członków Redakcji „Asa" rozdzieliło nagrody następującym uczestnikom konkursu:

Nagroda 1-sza dla „Babuni z Poznania" (stół repr. w Nrze 17 „Asa").

Nagroda 2-ga: pp. J. Sobiescy w Bydgoszczy (stół repr. w Nrze 19 „Asa").

Nagroda 3-cia: p. Julja Wolfarth z Gostynia (stół repr. w Nrze 18 „Asa").

Nagroda 4-ta: p. A. W. Ł. pod Poznaniem (stół repr. w Nrze 19 „Asa").

Nagroda 5-ta: p. Wanda Ruszewska z Pabjanic (stół repr. w Nrze 19 „Asa").

Przyznane nagrody wysłane zostaną wyróżnionym uczestnikom konkursu po uzupełnieniu nazwisk i dokładnych adresów.

Redakcja.

KĄCIK PRAKTYCZNY PANI DOMU:

Warto wiedzieć, że...

Zapach papierosów usuwa przepłókanie ust odwarem z naparzonego cynamonu. Skoro już piękne panie stały się namiętnemi palaczkami papierosów, ten niewinny środek pozwoli im usuwać w łatwy sposób zapach tytoniu i nikotyny, zanieczyszczający oddech i nieodpowiedni dla pięknych usteczek.

Przykry swąd z kuchni, który powstaje, gdy tłuszcz rozleje się na blachę, można zneutralizować, wycierając to miejsce natychmiast cebulą.

Grzebienie i szczotki do włosów czyści ciepła woda z dodatkiem amoniaku. Zatłuszczony brud na grzebieniach i szczotkach rozpuszcza się zupełnie i po przepłókaniu czystą wodą wyglądają jak nowe.

Plamy z jodyny na rękach czy twarzy zmywa się czystym alkoholem. Zabieg ten trzeba wykonać czystą wodą, póki jodyna nie spali skóry.

Plamy z jodyny na tkaninach znikną, gdy zwilżać je będziemy tiosiarczanem sodu. Płyn ten znany jest foto-amatorom jako jeden ze składników, potrzebnych do wywoływania klisz.

Lustra czyści się parafiną lub stearyną, którą po rozgrzaniu powleka się taflę lustrzaną. Ściera się ją potem miękką szmatką lub irchą. Czasami trzeba to powtórzyć kilka razy.

Cytryny przechowuje się najdłużej w słojach z zimną wodą, zmienianą jednak koniecznie codzień.

Papier woskowy do słoików można przygotować domowym sposobem, pociągając zwykły papier rozpuszczonym woskiem. Trzeba to wykonać nad ciepłą blachą. Po zastygnięciu papier woskowy nie przepuszcza powietrza i może zastąpić pęcherze, których używamy do obwiązywania słojów.

Kołnierze męskich ubrań i kapeluszy odświeża się, nacierając ciepłą wodą z amonjakiem. Odprasować zwilżone miejsca przez szmatkę.

Filcowe kapelusze czyści się z plam od deszczu lub błota przy pomocy surowego ziemniaka, wyszczotkowawszy przedtem dane miejsce. Następnie przeczyszcza się jeszcze szmatką, zwilżoną letnią wodą.

Odświeża meble powleczenie ich mieszaniną wosku i terpentyny. Gdy przeschnie — wytrzeć mocno suknem.

Cienkie jedwabie poplamione tłuszczem, odczyszcza się, wycierając żółtkiem i zmywając letnią wodą.

Pozostałe białka można przechowywać po wysuszeniu. Płaski talerz natrzeć cieniutko oliwą, a na nią wlać warstwę białka. Ususzyć w przewiewnem miejscu. Na ususzoną warstwę można wlewać kolejno następne. Przechowuje się doskonale, a do użycia rozpuszcza się je w zimnej wodzie.

Piękny połysk ma bielizna stołowa, krochmalona krochmalem ryżowym z dodatkiem kawałeczka białego wosku, jeżeli przytem jest doskonale zmaglowana.

Odświeża powietrze w pokoju chorego olejek terpentynowy, wlewany kroplami na gotującą się wodę. Powstająca para ma miły zapach żywiczny.

Jeżeli świecą stearynową poplamimy się ubranie, łatwo je odczyścić, prasując te miejsca gorącem żelazkiem przez bibułę, która wciąga w siebie stearynę.

Plamy z tłustych smarów rozmiękcza się masłem, które wraz z roztartą plamą usuwa się delikatnie przy pomocy noża. Pozostałą plamę usunie natarcie francuską terpentyną.

Zardzawioną bieliznę wygotowuje się w roztworze kwasku cytrynowego. Jeżeli chodzi o mniejsze kawałki, to wygotować je można w soku cytrynowym.

Aby się nie przypalały naleśniki czy dołki nasypać na gorącą patelnię soli, potem patelnię dobrze wytrzeć i dopiero topić masło i smażyć naleśniki.

ŻYCIE
TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

ULUBIENICA EKRANÓW CAŁEGO ŚWIATA



Ginger Rogers, która razem z fenomenalnym tancerzem, Fredem Astaire, reprezentuje nalepszą parę taneczną świata, cieszy się coraz większem powodzeniem wśród kinowej publiczności i uznaniem całego amerykańskiego społeczeństwa. Ostatnio takim dowodem uznania była wizyta gubernatora stanu Texas mr. Jamesa Allreda w studjo wytwórni R. K. O. z okazji premjery filmu Ginger Rogers i Freda Astaire „Follow the Fleet". Na zdjęciu słynna artystka w towarzystwie gubernatora Allreda (w środku) i znanego gwiazdora Johna Bolesa podczas bankietu w wytwórni R. K. O.

„CYRULIK WARSZAWSKI" NA TOURNÉE PO KRAJU

Najlepszy dziś polski kabaret artystyczny wyrusza pod wodzą Fryderyka Jarossyego, na tournée po miastach prowincjonalnych z zespołem, na czele którego znajduje się Mira Zimińska, doskonała pieśniarka.

Fot. Doris — Warszawa.



SUKCESY NAJMŁODSZEJ ARTYSTKI STOLICY



W warszawskim Teatrze Nowym graną jest z ogromnem powodzeniem sztuka p. t. „Tessa", w której rolę tytułową odtwarza z wielkim talentem młodziutka artystka, Elżbieta Barszczewska.

Fot. Doris — Warszawa.

Z OPERY W POZNANIU

Poznańska opera wystawiła niezwykle starannie „Juljusza Cezara" Fryderyka Händla z udziałem doskonałej sopranistki, Haliny Dudiczówne], którą widzimy na tle dekoracji, wykonanej przez art. mal. Zygmunta Szpingiera.



WYSTAWA HAFTÓW W ŻYWCU

Z początkiem b. m. otwarto w Żywcu niezwykle ciekawą wystawę haftów, wykonanych wyłącznie na motywach regjonalnych przez b. uczestniczki kursu robót ręcznych kobiecych w Żywcu. Na zdjęciu jeden z najciekawszych eksponatów: suknia panieńska.



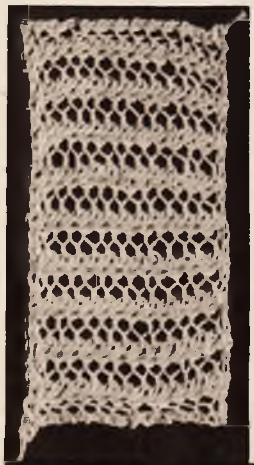
ODZNACZENIE RED. DIENSTL-DĄBROWY



W siedzibie Koncernu „IKC" odbyła się podniosła uroczystość wręczenia przez korpus oficerski 10 pułku strzelców konnych odznaki honorowej pułkowej p. płk. Marjanowi Dienstl-Dąbrowie, członkowi redakcji „IKC" — w dowód jego zasług około organizacji wojska polskiego we Włoszech. Na zdjęciu od lewej: por. Słabczyński, płk. Kazimierz Plisowski, d-ca 10 p. strz. kon. red. M. Dąbrowa, ppłk. Lewicki i rotmistrz Mysłakowski.

Fot. „As"

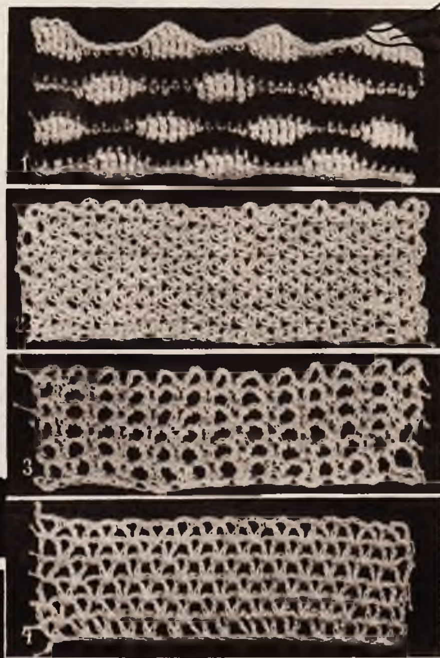
WZORY Szydełkowe i drutowe



Powyżej: Ścieg ażurowy wykonany na drutach. — Poniżej: Piękny model sukienki, wykonanej z cieniutkiej wełny na drutach.

Wzory robót szydełkowych i drutowych wchodzą coraz więcej w zakres naszej garderoby. Już nietylko serwetki, bluzki i dżemperki, ale całe sukienki wykonuje się szydełkiem, a jeszcze częściej na drutach.

Na prośbę grona Czytelniczek z Poznania zamieszczamy kilka takich wzorów, które dadzą się zastosować przy wykonywaniu bluzek itd. Gdy je zrobimy z cieniutkiej wełny lub z jedwabiu, wejdą w skład letniej garderoby, czy to na okres dni chłodniejszych, czy też do użycia nad morzem, gdyż na plaży są poprostu niezastąpione w swej praktyczności.



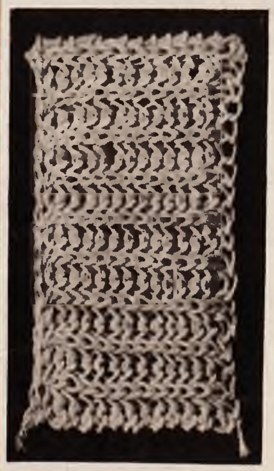
Od góry ku dołowi: 1) ścieg szydełkowy w dwóch kolorach. — 2) i 3) ścieg szydełkowy. — 4) Wzór szydełkowy.



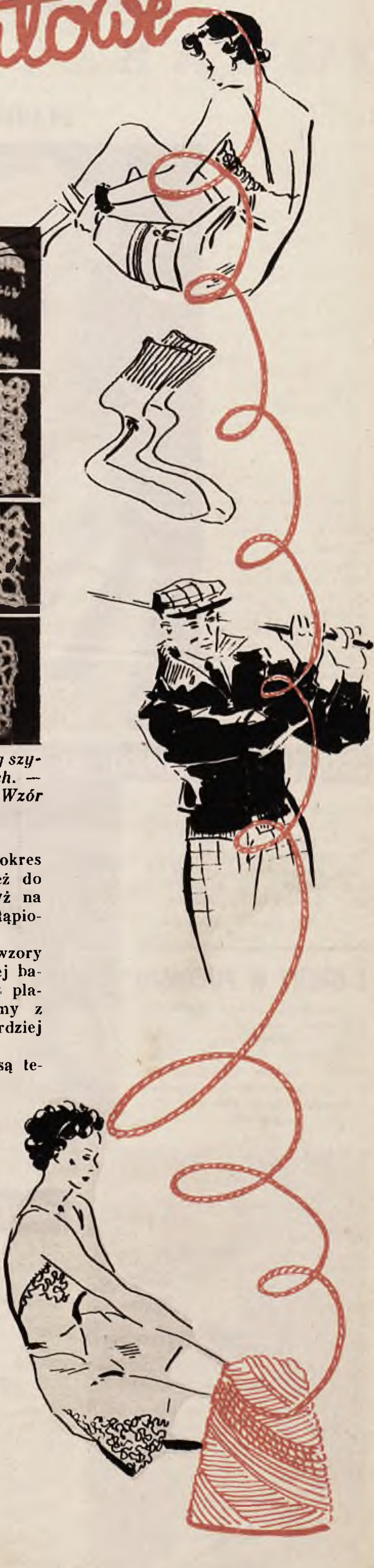
Reprodukowane obok wzory wykonywane są z cienkiej bawełny, aby ściegi wyszły plastyczniej. Gdy je zrobimy z włóczki, wyglądać będą bardziej puszysto.

Próbki 1—4 wykonane są techniką szydełkową, natomiast 5 i 6 technikąką drutową. A oto dokładny opis, jak się je wykonuje. Aby łat-

Dokończenie na str. 31-ej.



Ścieg na drutach.



PANIE, O KTÓRYCH MÓWI STOLICA

V

WANDA SOBAŃSKA



„Warszawa w kwiatach!" Gdy ubiegłego roku zarząd miasta Warszawy, w trosce o estetyczny wygląd stolicy, rzucił to hasło, z pośród licznej rzeszy kandydatów, którzy stanęli do konkursu za najpiękniejszą dekorację balkonów i okien, nagrodę Zarządu miejskiego zdobyła drowa Wanda Sobańska.

I tego roku z nastaniem ciepłych dni wiosennych zwrócono się do mieszkańców stolicy z apelem: Przyozdabiajcie swe okna i balkony zielenią i kwieciem!

Uważałam więc za stosowne złożyć wizytę zeszłorocznej laureatce i uzyskałam od niej wywiad na tak aktualny a wdzięczny temat.

Wanda Sobańska, to urocza kobieta — jedna z najpiękniejszych Warszawianek — zdobywczyni nagród piękności na reprezentacyjnych balach stołecznych. Jej platynowe, o różowawem odcieniu włosy cudownie harmonizują z brzoskwiniową cerą, jasnemi oczami i uśmiechem, odsłaniającym dwa rzędy olśniewających zębów i formującym na policzkach rozkoszne dołeczki.

— Zeszłoroczna nagroda — opowiada p. Wanda Sobańska — była dla mnie wielką niespodzianką. Do konkursu zgłoszona bowiem była cała kamienica, w której mieszkam, a tymczasem komisja wyróżniła mój balkon. Był to w dodatku „wyrok zaoczny", bawiłam bowiem na wywczasach letnich i po powrocie zastałam ku memu zdumieniu i radości dyplom i tę oto nagrodę.

I pani Wanda z dumą prezentuje piękną rzeźbę Olgi Niewskiej, przedstawiającą kobietę z naręczem kwiatów.

Zkolei zwiedzamy „pole chwały" naszej uroczej laureatki. Roboty wiosenne w całej pełni. Duży taras-balkon, obrośnięty cały młodem, pnącem się winem. Na tle zieleni poumieszczane efektowne, łamane półeczki, a na nich doniczki z sadzonkami petunji i pelargonji. Dołem, otwartej na ulicę balustrady skrzyneczki z kwiatami, u stropu wiszą trzy piękne kosze, również pełne młodych sadzonek.

Na razie wszystkie roślinki młode i nieśmiałe, ale za 2—3 tygodnie rozszaleje na tym balkonie cała orgja barw i woni.

— Uważam — ciągnie moja rozmówczyni, że akcja pod hasłem „Warszawa w kwiatach", wszczęta przez Zarząd miejski, godną jest ze wszech miar uznania i poparcia. U nas bowiem, a myślę nietylko o Warszawie, ale o całej Polsce, zamiłowanie do zdobnictwa kwiatami okien i balkonów stoi jeszcze na bardzo niskim poziomie. Ilekroć jestem zagranicą, wprost mnie serce boli z zazdrości, gdy widzę, jak tam całe kamienice i to te najskromniejsze, zamieszkałe przez proletarjat, toną w zieleni i kwiatach. Jak tam najnędzniejszy skrawek ziemi koło domu tworzy wypielęgnowany starannie, estetyczny ogródek. A u nas? Czyżbyśmy mieli w sobie tak mało poczucia piękna i ukochania przyrody?

Proszę o zdjęcie dla „Asa". Otrzymuję kilka do wyboru.

— Ależ pani jest ogromnie fotogeniczna! W uśmiechu przypomina pani Janet Gaynor i Corinne Griffith!

— Może i stąd pochodzi moje wielkie zainteresowanie się filmem — odpowiada pani Wanda. Próbowałam już nawet swoich sił na tem polu. Gdy na konkursie fotogenicznym otrzymałam drugą nagrodę, zaproszono mnie do wzięcia udziału w kilku filmach. Pod pseudonimem „Wanda Zawiszanka", grałam nieduże, ale o d p o w i e d z i a l n e role w „Szlakiem hańby", „Dzikusce", „Buncie krwi i żelaza" i innych. Miałam moc najlepszych recenzyj; nawet zagraniczna prasa chwaliła mnie gorąco za mój dramatyczny epizod dziewczyny wiejskiej w „Szlakiem hańby"...

— Jakto, i na tem się skończyło? — pytam ze zgrozą, patrząc na uroczą panią Wandę, obdarzoną tak nadzwyczajnymi warunkami fotogenicznymi. Pozatem wiem, że p. Sobańska gra koncertowo na fortepianie, posiada miły i piękny głos i jest szalenie muzykalną.

— Tak, to wszystko było cztery lata temu...

— I nasi producenci filmowi pozwalają pani tak próżnować? Przecież to jest karygodne! A tymczasem nasz polski film wciąż czeka na swoją Franciszkę Gall!

— Czekam i ja — zakończyła p. Wanda z figlarnym uśmiechem....

Zofja Ordyńska.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka - obliczone na 3—4 osoby.

BULJON DLA OZDROWIEŃCÓW (proporcje dla jednej osoby). W następujący sposób można w przeciągu pół godziny sporządzić bardzo posilny buljon. 20—25 dkg mięsa zemleć wraz z włoszczyzną rosołową w maszynce od mięsa, zalać pół litrem zimnej wody, posolić i gotować w ganrku ze szczelnem nakryciem na kraju blachy, tak, aby rosół po zagotowaniu wrzał tylko powoli. Po 30 minutach zalewa się buljon łyżką zimnej, przegotowanej wody i przecedza po chwilce przez geste sitko lub serwetkę. Ponownie zagotowany, wylewa się buljon na wybite na talerz żółtko lub całe jaje.

ZUPA SZPARAGOWA sporządzona bywa z drobniejszych, nie nadających się do podawania na jarzynę, szparagów. 15—25 dkg szparagów oskrobanych z łupki, ugotować w słonej wodzie z dodatkiem kostki cukru. Gdy miękkie, odciąć główki i dać je do wazy, resztę przetrzeć przez sito, przelewając wodą z pod szparagów (o ile nie jest gorzka) i lekkim rosołem. Podprawić zasmażką z łyżki masła i tyleż mąki. Wkońcu zaciąga się zupę ćwierć litrem słodkiej śmietanki, roztrzepanej z dwoma żółtkami i podaje z grzankami lub ryżem.

KREM LUB GALARETKA Z RABARBARU. 1 kg młodego rabarbaru obmyć, nie ściągając z niego łupki, pokrajać i sparzyć wrzątkiem ze szczyptą natrium bicarbonicum (t. zn. sody czyszczonej). Osączony z wody rabarbar posypuje się cukrem, dodaje kawałek wanilji i dusi z małą ilością wody. Wkońcu przeciera się przez włósiane sito i dodaje łyżkę rumu. Po zupełnem ostudzeniu miesza się z ćwierć litrem ubitej na piankę kremówki i 1 dkg żelatyny rozpuszczonej w paru łyżkach gorącej wody lub rozgrzanym soku różanym. Wymieszaną masę kładzie się do formy i zastudza w lodzie. Bez dodatku żelatyny podaje się tę leguminę jako krem wymieszany tylko z ubitą śmietanką i wyłożony na kryształową salaterkę z waflami lub keksami.

JAJA W BESZAMELU. 8—10 jaj ugotować na twardo, obłupać, pokrajać w ćwiartki i ułożyć w ogniotrwałej rynce, wysypanej grubo smażoną na młodej słonince tartą bułką. Następnie sporządza się beszamel z 5 dkg masła i tyleż mąki. Po zasmażeniu zalewa się szklanką mleka i zagotowuje na gładką masę beszamelową, której się nadaje smak solą, białym pieprzem i łyżką parmezanu. Jaja posypuje się mieloną szynką (8—10 dkg), pokrywa przygotowanym beszamelem, posypuje tartą bułką, kropi masłem i zapieka w piecyku. Krokiety z ziemniaków i sałata zielona zaprawiona cytryną i oliwą lub śmietaną jako dodatek.

OMLET PROWANSALSKI. Kilka dużych, ugotowanych ziemniaków pokrajać na plasterki. Na dużej patelni rozpalić tłuszcz (w oryginalnym przepisie podaną była oliwa) i ułożywszy plastry ziemniaków, osmażyć je z obu stron na kolor złoty. Osobno w garnuszku rozbić 2—3 jaj z tyluż łyżkami mleka, pełną łyżką mąki oraz dwoma łyżkami parmezanu lub innego ostrego tartego sera. Masę tę wylewa się na ziemniaki, smaży z jednej strony, odwraca omlet zapomocą łopatki i smaży z drugiej strony. Gotowy omlet posypuje się parmezanem i podaje z sałatą.

SZPARAGI skrobać z wierzchniej łupki, wiązać łyczkiem i wkładać do wrzącej wody, lekko osolonej z dodatkiem kostki cukru. Gotuje się je 20—30 minut, nie dłużej, gdyż tracą smak przez dłuższe gotowanie. Wyjęte z wody, o ile nie mogą być zaraz podane, zostawia się w durszlaku nad parą. Duże szparagi podaje się polane tylko rumianem masłem z bułeczką lub z sosem holenderskim osobno podanym.

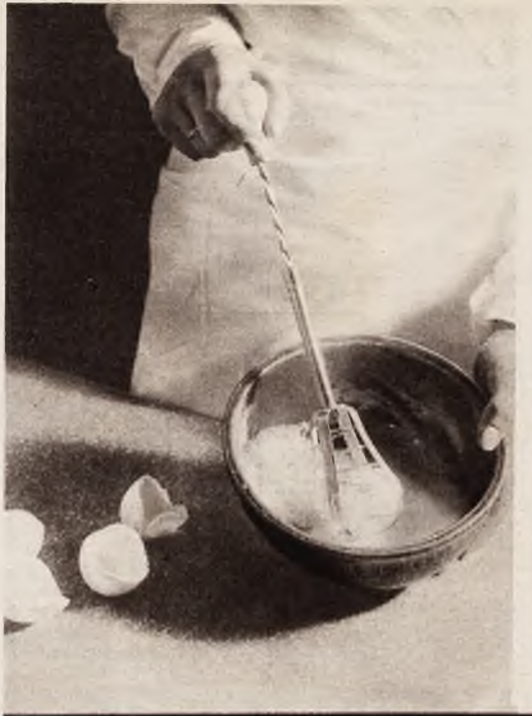
RAGOUT SZPARAGOWE. Drobne szparagi oczyszczone gotuje się w słonej wodzie; z ugotowanych odcina się główki, resztę przeciera się przez sito. Lekką zasmażkę z łyżki mąki i masła zalewa się troszką wody z pod szparagów, dodaje przetarte puree szparagowe — troszkę gałki muszkatułowej, szczyptę cukru i parę kropel soku cytrynowego. Wkońcu miesza się z odłożonemi główkami szparagowemi i żółtkiem utartem z łyżeczką masła. Masę, która powina być gęsta, nakłada się na muszelki, posypuje smażoną w maśle bułeczką i wstawia na 10 minut do piecyka.

PIEROŻKI ZE SZPINAKIEM. Przygotować ciasto z 1 żółtka, troszki wody i mąki, jak na pierogi i nakryć serwetą. Garść szpinaku obrać, ugotować w słonej wodzie i zemleć, następnie wysmażyć na łyżeczce masła w rondelku, wystudzić, dodać łyżkę tartego parmezanu i o ile za wolne łyżkę tartej bułki. Ciasto rozwałkować cienko, krajać w małe kwadraty i napełniać szpinakiem, tworząc małe uszka, jak do barszczu. Gotować w słonej wodzie i podawać do rosołu lub zupy jarzynowej.

SOS HOLENDERSKI DO SZPARAGÓW. Zagotować filiżankę rosołu z sokiem z połówki cytryny i wlać na osobno utarte 3 żółtka z 5 dkg masła, następnie postawić na ogniu i mieszać aż się zacznie podnosić i dobrze zgęstnieje. Zagotować się nie śmie. Po skontrolowaniu smaku dodaje się ewent. soli, cukru, białego pieprzu i gałki muszkatułowej.

Sc. Ko.

ULEPSZENIA W GOSPODARSTWIE DOMOWEM.



Trzepaczka do bicia piany z białek ulega ciągłym przeobrażeniom. Oto nowy jej wzór: spiralka nietylko automatycznie porusza się z góry na dół, ale także wykonuje ruch wirowy, przyspieszając ubicie piany.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 21 — **Maj** — Dni 31
Niedziela **17** Paschalisa	Zupa "oxtail". Przystawka z szparagów w muszelkach. Kurczęta z głowiastą sałatą lub z ogórków. Budyń migdałowy z szodonem. <u>Kolacja</u>: Fałszywy łosoś z cielęciny w majonezie.
Poniedziałek **18** Feliksa *Dn. krz.*	Zupa szparagowa. Omlet prowansalski. Pieczeń cielęca duszona z jarzynami. Krem z rabarbaru. <u>Kolacja</u>: Pierożki ruskie z słoninką.
Wtorek **19** Iwona Piotra *D.k*	Rosół "Consommé". Sztuka mięsa z sosem jajecznym. Polędwica wołowa po angielsku z pommes paille. Ciastka francuskie z kremem. <u>Kolacja</u>: Spaghetti z pomidorami.
Środa **20** Bernarda *Dn.krz.*	Zupa pieczarkowa. Szparagi z sosem holenderskim. Zrazy zwijane z kaszką krakowską na grzybach. Kompot z surowych owoców. <u>Kolacja</u>: Jaja zapiekane z beszamelu.
Czwartek **21** Wniebowst. P.	Zupa ryżowa na śmietanie. Kotleciki z móżdżków z marchewką i groszkiem. Ozór wołowy po polsku z kluseczkami. Galaretka owocowa. <u>Kolacja</u>: Szpinak w omletach.
Piątek **22** Emilii	Barszcz zabielany z twardem jajem. Budyń ryżowy z sosem szczawiowym. Białe ryby smażone z sałatą. Mądrzyki z sera z śmietaną. <u>Kolacja</u>: Wędzone ryby, chleb, masło.
Sobota **23** ...yderjusza b.	Rosół z kury z grysikiem. Knedelki bułczane z sosem pomidorowym. Kura z rosołu z sałatą zieloną. Kompot z brusznic lub rabarbaru. <u>Kolacja</u>: Kefir z kaszą tatarczaną.

AS KUPON konkursu na najnieprawdopodobniejsze głupstwo
numer 20 z dnia 17-go maja 1936 roku.

HOCKI-KLOCKI

ZWYCIĘZCA



— *Proszę się uśmiechnąć!...*

Z DESZCZU POD...

— Przykro mi było wczoraj, gdy mąż pani podczas mojego odczytu wyszedł nagle ze sali.

— Niech mu pani tego nie bierze za złe! On jest lunatykiem i zawsze zaczyna chodzić, gdy tylko mocno zaśnie!

POEZJA I RZECZYWISTOŚĆ.

— Jestem wściekle głodny! — narzeka bohater historycznego filmu przed swoją partnerką. — Jeżeli nie zgilotynują mnie za pięć minut, to chyba umrę za chwilę z głodu!

KOPJE!

— Widziałem wczoraj bliźniaki Teofilów. Chłopczyk jest istną fotografją ojca.

— A dziewczynka istnym filmem dźwiękowym matki!

Krzyżykówka

Ułożył J. Pięknicwski — Łódź.



Wpisując w puste miejsca litery otrzymamy następujące słowa, od góry: 1) sytuacja w szachach, 2) dostojnik turecki, 3) aprowizacyjny oddział wojskowy, 4) utwór poetycki, 5) stopień w wojsku, 6) las liściasty, 7) bohater z pod Troi, 8) wykonawca wyroku, 9) mitologiczna rzeka, 10) lód na rzece, 11) rzeka w Polsce.

SPROSTOWANIE



— *Czy to prawda, że żenisz się z Zosią tylko dla pieniędzy?*

— *Ależ to oszczerstwo! Po pierwsze ona niema już ani grosza, a po drugie ani mi się śni z nią żenić!...*

PIĄTE PRZEZ DZIESIĄTE.

Fabryka konserw: *konserwatorjum.*

„Przestań stawać okoniem!" — zawołał rybak do okonia, który w żaden sposób nie chciał dać się złowić.

Dokończenie ze strony 28-ej.

wiej opanować dany ścieg, najlepiej jest wykonać go najpierw i wyćwiczyć na małej próbeczce, aby potem sama robota była już gładziutko i równo zrobiona.

Wzór nr. 1. szydełkowy składa się z samych ząbków łańcuszkowych o 3 oczkach na powietrzu i niskich nienawijanych słupkach. Słupki szydełkujemy nie wprost w ząbkach łańcuszkowych, tylko wkładamy szydełko w środkowe oczko ząbka, a więc w drugie oczko, bo cały ząbek ma 3 oczka.

Robimy łańcuszek potrzebnej długości, a potem w piątem oczku wstecz niski, nienawijany słupek. Dalej 3 oczka na powietrzu i drugi słupek w tem samem oczku. Stworzymy tak maleńki, łańcuszkowy ząbek. Następnie zostawiamy jedno, a czasem dwa oczka wolne na łańcuszku, ażeby dół nie był ściągnięty i robimy drugi taki ząbek łańcusz.: tj. niski słupek, 3 oczka i w tem samem oczku drugi niski słupek. I tak dalej, aż do końca łańcuszka. Następnie obracamy robotę i robimy 3 oczka, aby stworzyć bok, a dalej szydełkujemy słupek w środkowem oczku ząbka poprzedniego rzędu, potem 3 oczka i znowu słupek w tem samem oczku środkowem. Następnie żadnego oczka na powietrzu nie robimy, tylko odrazu słupek na środku następnego ząbka, 3 oczka i znowu słupek w tem samem oczku. Tak więc widzimy całe rzędy ząbków jedne nad drugiemi. Szal, apaszka czy sweterek, robione tym ściegiem, są bardzo lekkie i nieprzeźroczyste.

Wzorek nr. 2. szydełkowy wykonywany jest taksamo, ale różni się tem od numeru pierwszego, że robimy ząbki łańcuszkowe o 5 oczkach, słupki taksamo niskie, przyczem wkładamy szydełko nie w oczko środkowe ząbka, tylko odrazu w ząbek, potem 5 oczek i znów słupek w tym samym ząbku. Wzorek ten ma prawą i lewą stronę, bo robimy go rzędami, zaczynając każdy rząd od prawego brzegu.

Wzorek nr. 3. szydełkowy ma także prawą i lewą stroną, ale można szydełkować go tam i spowrotem. Słupki są raz nawijane, a każdy klinik ma 2 oczka między słupkami. Między klinikami nie robimy żadnych oczek na powietrzu.

Wzór nr. 4. szydełkujemy z dwóch kolorów wełny.

Pierwszy rząd biały ma 5 słupków niskich, 1 słupek raz nawijany, 4 słupki dwa razy nawijane, następnie znowu 1 słupek raz nawijany i 5 słupków niskich i tak dalej przez całą szerokość. Drugi rządek składa się ze słupków czarnych raz nawijanych. A trzeci rząd znowu słupki białe, tylko robione naprzemian. Tam, gdzie było 5 słupków niskich, będą teraz wysokie, a tam, gdzie były wysokie, będą niskie. Wzór ten robi się zwykle z grubszej wełny.

Wzór nr. 5 jest drutowy, lekki i ażurowy. Robimy do jego zaczęcia pewną ilość oczek na drucie. Jest kilka sposobów zaczynania drutowych robót. Oto jeden z nich: Trzymam koniec włóczki w 2 palcach lewej ręki. Z dalszej nitki zarzucam pętlę na lewo i trzymam dalej w tych dwóch palcach skrzyżowanie tych dwóch nitek. Następnie wkładam zgóry do tej pętlicy drut i wyciągam włóczkę, czyli oczko. Teraz drut już z oczkiem trzymam w prawej ręce, a dwoma palcami lewej ręki obciągnę koniec i dalszy ciąg włóczki. Ale oczko na drucie powinno być wolne, nawet bardzo wolne. Gdy mam już drut z jednem oczkiem, wtedy biorę go do lewej ręki, a drugi drut wkładam od siebie w to oczko i wyciągam przez nie włóczkę, która leży na drugim palcu lewej ręki, a przytrzymywana jest trzecim palcem. Gdy tym drugim drutem nabiorę włóczkę i wyciągnę oczko ku sobie, wtedy muszę to oczko nałożyć na lewy drut, a robi się to w ten sposób, że lewym drutem odbieram to oczko z prawego drutu od dołu i od tyłu. Wtedy prawy drut jest znowu wolny i musi przez ostatnie oczko na lewym drucie wyciągnąć następne oczko i znowu oddać je lewemu drutowi. Tak więc prawy drut wyciąga bez przerwy nowe oczka, a lewy odbiera mu je od dołu i od tyłu.

Gdy już mamy pewną ilość oczek na lewym drucie, wtedy przerabiamy raz gładko całą szerokość. Następnie zaczynamy wzór. Pierwsze oczko zebrać, następnie jedno zrobić gładko. Potem nabrać bawełnę na prawy drut i ująć oczko, to znaczy z 2 oczek na lewym drucie zrobić jedno, potem 1 oczko gładko i znowu nabrać bawełnę na prawy drut i oczko ująć. Dalej 1 oczko przerobić gładko, znów nabrać bawełnę na prawy drut, ująć jedno oczko i 1 gładko i tak powtarzać cały rząd. Następnie robotę obrzucić i drugi rząd zacząć taksamo. Pierwsze oczko zebrać i jedno obok niego gładko, potem nabrać bawełnę, jedno oczko ująć, 1 zrobić gładko i znów nabrać bawełnę i tak dalej.

Wzorek nr. 6. drutowy jest gruby, ciepły i ma prawą i lewą stronę jednakową. Pierwsze oczko zdjąć, następne przerobić gładko, potem nabrać bawełnę na lewy drut i zebrać ją razem z nieprzerobionem oczkiem, potem jedno oczko przerobić gładko i znów nabrać bawełnę na lewy drut i zdjąć ją z oczkiem nieprzerobionem, a wkońcu jedno oczko przerobić gładko. To samo należy powtarzać do końca.

Drugi rząd zaczynamy zebraniem pierwszego nieprzerobionego oczka, które się nie liczy, następnie jedno oczko przerobić gładko, nabierając z lewego druta 2 oczka wspólne, nałożyć bawełnę na lewy drut i zebrać ją razem z oczkiem nieprzerobionem i znowu jedno oczko gładko i tak dalej.

Przed zaczęciem roboty wykonać najpierw wzorek, chociażby jak najmniejszego formatu.

M. M. D.

To warto poznać...

NA SCENIE.

Najciekawszem wydarzeniem teatralnem ostatnich dni jest **krakowska** prapremjera najnowszego dramatu L. H. **Morstina „Misterjum Nocy Majowej"**. — Wprawdzie utwór to wybitnie okolicznościowy, gdyż związany jest z dniem śmierci Marszałka, jednakże ze względu na swe nieprzemijające wartości literackie, teatralne i wychowawcze zasługuje na specjalną uwagę. Zasługuje tembardziej, że autor nietylko chciał dramatem tym złożyć hołd pamięci Marszałka Pił-



Mieczysław Węgrzyn jako polski Hamlet w „Misterjum Nocy Majowej".

sudskiego, ale równocześnie dać obraz współczesnego społeczeństwa polskiego.

Jak wypadł ten obraz społeczeństwa? Autor przedewszystkiem wszystkie postacie realne, występujące w dramacie, bardzo uszlachetnił, tak, że nie tworzą one zróżniczkowanych typów ani charakterów. Ciekawe są jedynie ich poglądy i wypowiedzi na temat współczesnego życia w Polsce. Naturalnie wypowiedzi te są przeważnie skargą na los, na nędzę, na krzywdę, z której obronić może Polskę tylko jeden człowiek, Wódz Narodu, mieszkający w Belwederze. Nic więc dziwnego, że gdy przychodzi wiadomość o śmierci tego człowieka, który dla wszystkich był ucieczką i ratunkiem, zasępiają się wszystkie czoła i budzi się pytanie, co będzie z Polską. Rzeczywiście to pytanie budziło się naprawdę u wszystkich rok temu.

Wypowiedzi przedstawicieli różnych stanów społeczeństwa, myśli bohaterów dramatu, uosobionych w kształtach zjaw, szukają ratunku jedynie w zgodzie narodowej i w jedności społeczeństwa.

Ideowe założenia dramatu, których trzy części stanowią każda dla siebie odrębną całość, są szlachetne. Obraz społeczeństwa odmalowany trafnie, choć nie pogłębiony. A wartości literackie i artystyczne? Morstin przesiąknięty jest nawskroś wielką poezją dramatyczną, do której zupełnie świadomie nawiązuje i uczucia swe oraz myśli wypowiada obrazami, myślami, a często i słowami, zaczerpniętemi z dzieł Mickiewicza, Słowackiego, czy Wyspiańskiego, co utrudnia ocenę własnych, oryginalnych myśli poety.

„Misterjum Nocy Majowej" posiada duże wartości teatralne, jako widowisko dobrze przygotowane może wywołać potężne nawet wrażenie, wzruszyć widzów, pobudzić ich do zastanowienia. Krakowskie przedstawienie było przygotowane badzo starannie przez dyr. Frycza i reżysera J. Karbowskiego, a umiejętnie dobrana ilustracja muzyczna utworów L. Marczewskiego potęguje nastrój. Niemal wszystkie role i epizody, których jest bardzo dużo, odtworzone zostały zupełnie dobrze, a na specjalne wyróżnienie zasługują: Suchecka, W. Nowakowski, M. Węgrzyn, Burnatowicz, Fabisiak, Macherski.

(bl).

NOWE KSIĄŻKI.

„Iskry z pod młota", dwutomowa nowa powieść **F. Antoniego Ossendowskiego**, wydana w niezwykle pięknej szacie przez **Wydawnictwo Polskie R. Wegnera** w Poznaniu w **„Bibljotece Autorów Polskich"**, stanęła w rzędzie licznych powieści wojennych, ale zachowując swój zupełnie odrębny charakter. Autor nie jest ani piewcą wojny ani też „wojującym pacyfistą", nie daje też reportażu wojennego w swej książce. Ujmuje on zagadnienie wojny jako żywiołu z kilku punktów widzenia, nie dając wkońcu skondensowanej odpowiedzi na cisnące się pytania, lecz pozwalając, czy nawet nakazując czytelnikowi, by sam wedle swych podstaw myślowych i uczuciowych, wyciągnął ostateczną konkluzję.

Akcja „Iskier z pod młota" toczy się przez dwa tomy na kilku frontach Europy podczas wielkiej wojny, począwszy od francuskiego, przez niemiecki i rosyjski, oraz w krajach neutralnych, a także w stolicach państw walczących i na innych odcinkach „hinterlandu". Śledzimy nastroje, załamanie się, czyny bohaterskie, cały ten potworny melanż wypadków i uczuć, mieszany przez wojnę — a śledzimy go za kolejami życia bohatera powieści, dziennikarza Nessera, korespondenta wojennego dziennika bulwarowego z Paryża. Wojna przetwarza bohatera powieści z człowieka niskiego i wybitnie egoistycznego w bohatera, zarazem kilka pomniejszych postaci przekształcając również z niższych w wyższe typy.

Nie jest to jednak jedyna koncepcja Ossendowskiego, gdyż równocześnie nie szczędzi on obrazów niezwykle plastycznych w grozie, nie szczędzi słów na określenie całego okrucieństwa, niesprawiedliwości, zbrodni wojny. Co ważniejsze: przetworzone jednostki, które prowadzić będą akcję dobra, czy też okaleczałe fizycznie i moralnie miljony? Wojna chyba jest poto, by wkońcu wszyscy przejrzeli i wyrzekli się wojny raz na zawsze — wojna jako największa zbrodnia jest poto, by zbrodnią tępić zbrodnię...

Oto refleksje snujące się przez tę niezwykle wartościową powieść Ossendowskiego.

w. z.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 17 maja.

10.30: Transmisja nabożeństwa.
12.15: Oratorjum „Syn marnotrawny" — Opieńskiego.
13.10: Fragment z Komedji Zabłockiego „Sarmatyzm".
14.00: Chimera z Notre Dame.
14.20: Hiszpańskie nastroje (muzyka).
17.40: Migawka regjonalna „Pierwszy szofer lwowski".
20.00: Koncert Orkiestry Marynarki Wojennej.
21.10: Na Wesołej Lwowskiej Fali.

Poniedziałek, 18 maja.

16.15: Trio salonowe P. R.
16.45: Wytrzymałość — skecz.
17.20: Recital Marji Rońskiej.
18.00: Sonata na skrzypce i fortepian J. Wertheima.
20.30: Pieśni towarzyskie staroszlacheckie.
21.00: Muzyka lekka.
21.30: Hreczkosiej na Parnasie, wieczór literacki.
22.00: Koncert poświęcony twórczości Emilja Młynarskiego.

Wtorek, 19 maja.

12.30: Koncert południowy.
16.15: Koncert muzyki lekkiej z udziałem M. Mierzejewskiego.
17.20: Adam Aston śpiewa piosenki.
18.00: Kwartet smyczkowy A-dur Schumanna.
21.15: Fragmenty z opery Cl. Debussy'ego „Peleas i Melisanda".
22.30: Muzyka taneczna.

Środa, 20 maja.

12.30: Koncert południowy.
17.20: Recital skrzypcowy Szymona Bakmana.
18.00: Piosenki z dawnych lat.
20.00: Muzyka lekka.
21.00: Koncert chopinowski.
21.30: „Pisarze zmieńcie świat", dyskusja.
21.55: Recital śpiewaczy Heleny Zboińskiej-Ruszkowskiej.
22.25: Muzyka taneczna.

Czwartek, 21 maja.

12.15: Koncert z udziałem Fr. Platówny — w przerwie fragm. słuchowiskowy.
14.00: „Legjon Mickiewicza we Włoszech" — fragment z powieści Szpotańskiego.
16.15: Wiązanka melodyj rewjowych i filmowych.
17.15: Wesoły Wiedeń — koncert.
18.30: „Zgadnij kto gra i śpiewa?" — rozwiązania zagadki.
20.00: „Wśród tańca i śpiewu", reportaż muzyczny.
21.00: Premjera komedji A. Fredry „Koncert".
22.15: Kwartet smyczkowy d-moll op. Antoniego Moniuszki.
22.50: „Jak za dawnych lat" — koncert.

Piątek, 22 maja.

12.40: Muzyka salonowa.
15.30: „W pół godziny przez Europę" — płyty.
16.45: „Dzieje i przygody Krzysztofa Kolumba" — audycja dla dzieci.
17.20: Recital fortepianowy Kazimierza Kranca.
18.00: Chór Juranda.
20.00: Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej.
22.50: Muzyka taneczna z Café Clubu.

Sobota, 23 maja.

15.30: Orkiestra mandolinistów.
17.00: Nabożeństwo majowe z Jasnej Góry.
18.10: Koncert solistów.
20.00: Muzyka lekka.
21.30: „Wesoła Syrena".
22.00: Koncert z udziałem St. Tawroszewicza (skrzypce).
23.05: „Od walca do rumby" — płyty.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego Magazynu »As«, zamieszcza Redakcja bezpłatnie.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.